9 771898 308011 40

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 28.09.2026
Nr 78 (2589)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

SPORT • STR. 21

Siatkarze witani na lotnisku jak bohaterowie

Na polską reprezentację siatkarzy można liczyć zawsze! Zostali mistrzami Europy i zapewnili sobie start na igrzyskach



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

MAGAZYN • STR. 4

Premier zapowiada, że „grzeczny” nie będzie

MAGAZYN • STR. 6

To już nie jest wojna hybrydowa Rosji

MAGAZYN • STR. 8

Alfa. Pokolenie smutku i ekranów telefonów

REKLAMA 0011586943



eprasa.pl 6d5d1d980e

POLECAMY

PIĄTEK: Czy wybory prezydenta Krakowa zmienią politykę ogólnokrajową?

28.09.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Wacława, Marka, Tymona
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta



Komu wolno użyć przemocy i jaki z nią problem?

Niebezpieczna kobieta i wariatka - takie określenia padły pod adresem Rzeczniczki Praw Dziecka. Po opisaniu sprawy przez Kanał Zero nikt jej nie broni, a w Sejmie posłowie zapowiedzieli zgłoszenie wniosku o odwołanie ze stanowiska. Jednym słowem: katastrofa. W skrócie - dwoje maluchów w wieku 3 i 4 lat zostało zabranych rodzicom. Na skutek decyzji policji trafiły do domu dziecka, po tym jak Rzeczniczka miała na ulicy scysję z ich matką. Twierdzi, że matka szarpała jedno z dzieci i krzyczała na nie, używając wulgarnych słów. To w ocenie Rzeczniczki było „przemocą fizyczną i psychiczną". Kiedy Rzeczniczka interweniowała, także usłyszała „wiązankę". Potem nastąpiła cała seria działań, które sędzia zajmujący się tą sprawą określił jako „przemoc instytucjonalną". Jego zdaniem Rzeczniczka doprowadziła do zabrania dzieci z błahego powodu.

Pomińmy tu szczegóły, bo łatwo sprowadzić tę historię do absurdu, a im dalej w las - tym więcej drzew. Mnie zastanowiło, że zarzutem przemocy można tak łatwo manipulować i podkładać pod te pojęcie różną treść: rodzice używają przemocy wobec dzieci, instytucja stosuje przemoc wobec rodziców. Może jest tak, że w życiu każdy styka się z jakąś formą przemocy, więc nie ma się co roztkliwiać. Fizyczna przemoc bywa banalna jak klaps wymierzony dziecku za złe zachowanie, ale przecież niekiedy zamienia się w maltretowanie. Z psychiczną przemocą jest jeszcze trudniej, bo wiele zależy od wrażliwości ofiary.

Nawet jeśli wszyscy uznamy, że w tym konkretnym przypadku Rzeczniczka przesadziła i zostanie odwołana ze stanowiska za nadgorliwość, to z różnymi formami przemocy zawsze będziemy mieć kłopot, bo jest ona częścią ludzkiego losu.

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



Transplantacje mają dość długą historię

Współczesna medycyna szczyci się tym, że coraz większą liczbę poważnych chorób można leczyć przeszczepami. Koncepcyjnie sprawa jest prosta: Usuwa się chory narząd z organizmu pacjenta i na jego miejsce wstawia się narząd zdrowy.

Najbardziej znana jest pionierska operacja przeszczepu serca, wykonana w dniu 3.12.1967 przez Christiaana Barnarda w Kapsztadzie (Republika Południowej Afryki). Pacjent, 53-letni Louis Washkansky, otrzymał serce od Denise Darvall, ofiary wypadku drogowego. Operowany przeżył tylko 18 dni, bo wywiązało się zapalenie płuc, które go zabiło, ale już 2 stycznia 1968 Barnard dokonał drugiej transplantacji serca u śmiertelnie chorego Philipa Blaiberga - i Blaiberg przeżył po przeszczepie 19 miesięcy.

Barnardowi światową sławę przyniosła okoliczność, że był najodważniejszy ze wszystkich lekarzy zajmujących się kardiochirurgią i zrobił to, o czym wszyscy od dawna myśleli. Warto jednak przypomnieć, że różne przeszczepy wykonywali lekarze dużo wcześniej, chociaż nie dotyczyły one tak krytycznego narządu, jakim jest serce

Pierwsze zabiegi tego typu wykonywano już w średniowieczu, lecząc przeszczepami skóry utracone w walkach nosy pechowych rycerzy. Najbardziej znanym „transplantologiem" średniowiecznym był Gaspare Togliacozzi. Żył w latach 1546-1599 i naprawił mnóstwo utraconych nosów przeszczepami skóry z ramienia leczonego pacjenta.

Fakt, że przeszczepiano własne tkanki pacjenta powodował, że operacje się udawały i proces leczenia był skuteczny. W przypadku przeszczepiania jakiegokolwiek narządu od jednego osobnika (dawcy) do innego osobnika (biorcy) pojawia się jednak problem natury immunologicznej. Układ odpornościowy traktuje bowiem obcy narząd (przeszczepione serce) podobnie jak inwazję bakterii czy wirusów. Albo niszczy intruza (co prowadzi do odrzucenia przeszczepu), albo go toleruje. Ale jeśli toleruje przeszczep, to nie reaguje także na inne obce ciała, co powoduje, że wszelkie chorobotwórcze mikroby rozwijają się bez przeszkód i pacjenta może zabić banalne przeziębienie.

Mimo tych przeszkód próby dokonywania przeszczepów były podejmowane, powodzeniem kończyły się bowiem próby przeszczepiania jednym zwierzętom narządów pobranych u innych zwierząt. Znany jest eksperyment Austriaka Emmericha Ullmanna, który w 1902 roku przeszczepił nerkę jednego psa do organizmu innego psa. Przeszczepiona nerka podjęła pracę. Zachęcony tym powodzeniem inny Austriak, Eduard Zirm 7 grudnia 1905 przeprowadził pierwszą udaną operację przeszczepu rogówki.

Potem lekarze odkryli, że przeszczep może się udać, jeśli pomiędzy organizmem dawcy i biorcy zachodzi zgodność immunologiczna. Pierwsze udane przeszczepy dotyczyły braci bliźniaków. Potem nauczono się dobierać dawców

Natomiast liczne próby przeszczepiania ludziom narządów pochodzących od zwierząt zawsze kończyły się niepowodzeniem. Próbowano zastępować skórę pacjenta utraconą na przykład w wyniku oparzenia - skórą psa, żaby albo kury. Skutki były fatalne.

Źle się skończył także eksperyment dra Ullmanna, który zachęcony sukcesem operacji na psach - spróbował przeszczepić pacjentce z niewydolnością nerek - nerkę świni. Ale przeszczepy ludzkich organów coraz częściej się udawały, zwłaszcza gdy jako dawców używano bliskich krewnych leczonego pacjenta.

Przeszczepy narządów, których dawca może się pozbyć bez dramatycznego narażania własnego życia, są moralnie akceptowalne. Gorzej z narządami, których pobranie nieodwołalnie skazuje dawcę na śmierć. Tak jest z przeszczepami serca. Trzeba być pewnym, że życia dawcy nie da się uratować i że pobranie narządu nie spowoduje pogorszenia jego sytuacji. Ale zyskanie takiej pewności jest bardzo trudne.

KRÓTKO

Samorząd

Mieszkańcy Krakowa wybierają prezydenta

Według Miejskiej Komisji Wyborczej w Krakowie głosowanie przebiegało spokojnie; komisje obwodowe nie zgłosiły żadnych zakłóceń. Głosowania zaczęły się punktualnie o godz. 7 rano. Wyjątkiem zaakceptowanym wcześniej przez Komisję były takie miejsca, jak np. szpitale, gdzie zgodzono się na późniejszą porę rozpoczęcia wyborów. W tych wyborach nie są zbierane dane na temat frekwencji. Ostateczne wyniki wyborów zostaną ogłoszone między godz. 3 a 4 rano. Wyniki będą wywieszone na drzwiach magistratu. Przedterminowe wybory w stolicy Małopolski to efekt odwołania w maju w drodze referendum Aleksandra Miszalskiego (Koalicja Obywatelska) z urzędu prezydenta miasta. Z przedwyborczych ondaży wynika, że do drugiej tury przejdą Łukasz Gibała, kandydat niezależny oraz Monika Piątkowska, kandydatka KO.**PAP**

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 6d5d1d980e

LEON XIV W PARYŻU I LOURDES

Tłumy ludzi i modlitwa za Francję

Rozmowa z katechumenami i neofitami, historyczna Msza św. w Paryżu z udziałem 800 tys. wiernych, i wieczorna modlitwa w Grocie Objawień w Lourdes – to wydarzenia podróży apostolskiej Leona XIV do Francji

Wojciech Rogacin, Vatican News

Olbrzymie rzesze ludzi wzdłuż Champs Elysees, wokół Placu Charlesa de Gaulle'a i przy Place de la Concorde zgromadziły się w sobotnie popołudnie w Paryżu, aby spotkać się z Leonem XIV i uczestniczyć we mszy św. pod jego przewodnictwem.

Morze francuskich i watykańskich chorągiewek nad głowami tłumów sprawiło, że w pochmurny dzień Pola Elizejskie mieniły się radosnymi barwami. Wśród zgromadzonych była pierwsza dama Francji Brigitte Macron oraz premier Sébastien Lecornu.



FOT. PAP/EPA

Mówiąc m.in. do osób chorych papież podkreślił, że żadna słabość nie zostaje odrzucona

Z młodzieżą na stadionie

Wielkie tłumy pozdrawiały papieża także dzień wcześniej – na trasie do katedry Notre Dame i wokół świątyni, gdzie po południu Leon XIV odprawił nieszpory z duchowieństwem. Papież nawet się wzruszył, śpiewając wraz z tysiącami wiernych pieśń Salve Regina.

Wieczorem w piątek z kolei przywitały Leona XIV pełne trybuny 80-tysięcznego stadionu Stade de France w Saint-Denis pod Paryżem. Tam odbyło się spotkanie Leona XIV z młodzieżą. W obecności relikwii świętej Tuniki Chrystusa papież dziękował młodzieży za jej odwagę, obecność i wiarę: „Jesteście świętymi Francji" – powiedział, nawiązując także do pięknej ceremonii Litanii do świętych francuskich, którzy mają być wzorem dla dzisiejszej młodzieży.

Pokuta w Lourdes

„Pokuta! Pokuta! Pokuta!" – te słowa Maryi z objawień w Lourdes powtórzył Leon XIV w homilii podczas Mszy św. w słynnym sanktuarium Matki Bożej. Wskazał, że wobec współczesnych nurtów, które usiłują redefiniować wartość ludzkiego życia w obliczu choroby, cierpienia czy starości, Grota Massabielska jawi się jako sanktuarium chrześcijańskiej nadziei. A modlitwa i pokuta złączone z cierpieniem Chrystusa mają moc zmiany wydarzeń.

Papież w homilii wskazał na nawrócenie, modlitwę i pokutę człowieka, o których mówią teksty liturgiczne z tej niedzieli oraz przesłanie Matki Bożej podczas objawień w Lourdes. Tam Maryja objawiła się 18 razy Bernadecie Soubirous w 1858 roku.

Leon zaznaczył, że Bóg wzywa do pokuty i nawrócenia dzisiaj, nie jutro. „Bóg pragnie, aby człowiek żył, aby otworzył oczy i powrócił do Niego. Nawrócić się oznacza porzucić drogi zagubienia i wejść na Drogę Życia" – wskazał papież. Słowa Jezusa o konieczności nawrócenia nie gwarantują szczęścia na ziemi, które dla niektórych jest niestety nieosiągalne mówił. Leon XIV podkreślił, że prawdziwe szczęście jest obiecane wszystkim w nadziei „i to ku niemu powinny przede wszystkim zmierzać nasze poszukiwania, wysiłki i wybory".

Mówiąc m.in. do osób chorych papież podkreślił, że żadna słabość nie zostaje odrzucona. „Wasze kule, wózki inwalidzkie i ukryte łzy nie są przeszkodą: stają się, par excellence, miejscem, w którym jesteście w pełni szanowani i przyjmowani, a nieskończona miłość Boga wynosi was ponad własne ograniczenia".

Jednocześnie Leon XIV zaznaczył, że „Lourdes jest błogosławionym miejscem wyznania wiary w piękno i świętość życia, ponieważ tutaj przyjmuje się je jako cenny dar Boga, powołany, by rozkwitnąć na wieczność w miłości Ojca".

W poniedziałek Ojciec Święty pojedzie do Metzu – rodzinnego miasta Roberta Schumana, a wieczorem wróci do Watykanu.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN 0011581484

Local content to nie tylko wskaźnik. ORLEN włącza polskie firmy w wielkie inwestycje

Dla Grupy ORLEN local content nie jest jedynie procentem budżetu inwestycji trafiającym do polskich dostawców. Koncern chce, aby wraz z nowymi elektrowniami, farmami wiatrowymi czy instalacjami paliwowymi rozwijały się także rodzime firmy, technologie i kompetencje. Skala planowanych inwestycji jest ogromna – do 2035 r. ORLEN może przeznaczyć na nie nawet 380 mld zł.

Grupa ORLEN już dziś współpracuje z blisko 250 tys. przedsiębiorstw — to niemal co dziesiąta firma działająca w Polsce.

– *Naszą ambicją jest to, aby udział krajowych dostawców w inwestycjach ORLENU był jak największy. Prowadzimy program inwestycyjny o niespotykanej skali w historii polskiej energetyki. Do 2035 r. wydamy nawet 380 mld zł. To pieniądze, które faktycznie napędzają polską gospodarkę, pozwalając rozwijać się kolejnym firmom i całym sektorom* – podkreśla Ireneusz Fąfara, prezes ORLENU.

Setki miliardów złotych na inwestycje

W 2025 roku Grupa ORLEN przeznaczyła na inwestycje ponad 33 mld zł. Do 2035 roku wartość programu inwestycyjnego może sięgnąć nawet 380 mld zł. Środki mają zasilić między innymi energetykę odnawialną, modernizację sieci, źródła gazowe, biopaliwa, technologie wodorowe oraz projekty wzmacniające bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Tak duża skala inwestycji oznacza duży rynek dla krajowych dostawców. ORLEN wskazuje, że local content obejmuje nie tylko produkcję urządzeń, ale także technologie, kompetencje, usługi, logistykę oraz późniejsze utrzymanie infrastruktury.

Polskie firmy już uczestniczą w inwestycjach

Udział polskich firm w inwestycjach ORLENU już jest istotny. Energa Wytwarzanie w ciągu ostatnich dwóch lat zawarła z polskimi firmami około 99 proc. umów kosztowych związanych z utrzymaniem i eksploatacją OZE. Z kolei ORLEN Termika w 2025 r. zawarła 95 proc. umów remontowych z podmiotami krajowymi. Wartość tych wydatków wyniosła około 500 mln zł.

Dobrym przykładem jest także elektrownia gazowo-parowa CCGT Gdańsk.



Liderem konsorcjum realizującego inwestycję jest Polimex-Mostostal, który planuje przeznaczyć około 80 proc. swoich wydatków związanych z projektem na polski rynek. Przy inwestycji ma korzystać z usług około 150 krajowych podwykonawców. Z kolei w przypadku CCGT w Grudziądzu i Ostrołęce udział komponentu krajowego wynosi około 30–40 proc.

Local content widać także w sektorze biopaliw. ORLEN kupuje surowce za około 5 mld zł rocznie od polskich rolników. Według danych przedstawionych przez koncern około 75 proc. dostaw surowców do produkcji biopaliw pochodzi z krajowego rynku. Dodatkowo 2,5 mld zł trafia do polskich podmiotów logistycznych.

W Baltic Power, czyli pierwszej polskiej morskiej farmie wiatrowej, udział local content w projekcie przekroczy 21 proc. w całym cyklu pracy farmy. Polskie firmy biorą udział m.in. w produkcji kabli, konstrukcji morskich stacji elektroenergetycznych, badaniach środowiskowych i geotechnicznych, logistyce, transporcie oraz budowie infrastruktury lądowej. To znaczący wynik, biorąc pod uwagę, że krajowy przemysł związany z tym sektorem znajduje się wciąż na wczesnym etapie rozwoju.

– *Budujemy local content nie tylko dlatego, że to jest polskie, ale dlatego, że jest polskie, dobre i rozsądne cenowo. Budując doświadczenie przy dużych projektach w Polsce, nasze firmy mogą później skutecznie konkurować również za granicą* – zaznaczył prezes Ireneusz Fąfara.

Od Szczecina, przez Rzeszów, po Warszawę

Czwarta edycja Forum Polskich Dostawców „Energia z Polski – Local First" w Warszawie jest kolejnym spotkaniem poświęconym krajowemu komponentowi w inwestycjach. W Szczecinie, podczas II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej, rozmawiano przede wszystkim o offshore.

W czerwcu tego roku na Uniwersytecie Rzeszowskim odbyło się Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego z udziałem ministra aktywów państwowych Wojciecha Balczuna. Temat local content połączono z bezpieczeństwem dostaw dla energetyki i obronności.

Równolegle ORLEN prowadzi własny cykl „Partnerzy Energii Jutra. Forum Dostawców ORLEN". Jego celem jest zwiększanie udziału polskich przedsiębiorstw w inwestycjach koncernu. Podczas spotkań przedstawiciele spółki przedstawiają potrzeby zakupowe, wymagania wobec dostawców oraz sposób przygotowania się do współpracy.

Dziś, 28 września trwa warszawskie Forum Polskich Dostawców. W trakcie wydarzenia ORLEN prowadzi praktyczny warsztat na temat współpracy i partnerstwa z Grupą. Przedsiębiorcy poznają zasady procesu zakupowego, wymagania stawiane dostawcom oraz sposoby sprawnego przygotowania firmy do partnerstwa.

Koncern publikuje także zapytania informacyjne RFI, które mają zapowiadać duże postępowania zakupowe. ORLEN wskazuje, że przewidywalny portfel inwestycji pozwala firmom inwestować w moce produkcyjne, kompetencje i certyfikacje.

eprasa.pl 6d5d1d980e

POLITYKA

Donald Tusk „grzeczny już był". Teraz rusza na wojnę z prezydentem

Ostatnia deklaracja premiera Tuska nie pozostawia złudzeń. Przyspieszą rozliczenia, rząd, a konkretnie minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, będzie chciał zrobić porządek w instytucjach państwa. Za chwilę ruszy kampania wyborcza: czas twardej gry, w której nikt nie będzie brał jeńców

Dorota Kowalska

Wojna między prezydentem Karolem Nawrockim i ekipą rządzącą trwa właściwie od dnia zaprzysiężenia, niektórzy mówią nawet o wojnie totalne. Wygląda jednak na to, że ta próba sił wchodzi w zupełnie nową fazę.

- Jest szachownica, umawiamy się na grę w szachy. A z drugiej strony przychodzi facet z bejsbolem i mówi: „ty grasz w szachy, ale ja jestem na ustawce". Z chuliganami nie będziemy grać w szachy. Grzeczny już byłem - zapowiedział Donald Tusk na spotkaniu z wyborcami przed wyborami prezydenckimi w Krakowie. I żeby nikt nie miał wątpliwości, że takie słowa padły, umieścił je także w mediach społecznościowych.

Tusk podczas spotkania w Krakowie podkreślił, że w walce z politycznymi przeciwnikami „nie cofnie nogi", owszem, chciałby się z nimi spierać na argumenty i prowadzić merytoryczne dyskusje, tyle tylko, że z drugiej strony spotyka się z wyłącznie z „siłą".

Między słowami Tusk nawiązał przy tym do swojej przeszłości kibica Lechii Gdańsk i ostrzegł swoich oponentów.

- W młodości też nabyłem różnych umiejętności, które mogą się też przydać w tej nowej formie politycznej walki czy konfrontacji. Ja na pewno się nie przestraszę i cieszę się, że jesteśmy dokładnie z tej samej gliny - podkreślił.

Nie trudno się domyślić, do kogo premier Tusk skierował te słowa: Karol Nawrocki nigdy się nie zaprzeczał, że jest kibicem piłkarskim, co więcej przyznał, ze brał udział w kibolskich ustawkach.

Opozycja na ostatnią deklarację Tuska zareagowała nerwowo.

Mariusz Błaszczak, szef klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości, skomentował te słowa w mediach społecznościowych jako otwartą zapowiedź dalszego łamania prawa i eskalacji napięć przez szefa rządu.

Sebastian Kaleta, były wiceminister sprawiedliwości w rządzie Zjednoczonej Prawicy, opublikował screena pokazującego art. 128 Kodeksu karnego. Przepis ten stanowi o zamachu na konstytucyjny organ RP.

„Grzeczny Pan nie był nigdy w tej sprawie, a w szachy grać nie potrafi.



FOT. PAP/ŁUKASZ GĄGULSKI

Donald Tusk Tusk podkreślił, że w walce z politycznymi przeciwnikami „nie cofnie nogi"

Dlatego wpadł w furię, bo tę partię przegrywa i chce wywalić stolik, wyciągnąć bejsbola i w ten sposób pokonać przeciwnika. Prymat siły nad prawem, to Pana metoda" – napisał parlamentarzysta. „Tym samym dowodzi Pan, że prawo łamie. Szachy to zmiana prawa przeprowadzona w oparciu o demokratyczny i konstytucyjny mandat. Polacy go Panu nie dali odrzucając Pana kandydata w wyborach Prezydenckich. To, że a w akcie zemsty wyciągnie pan kij bejsbolowy faktów nie zmieni" – dodał Kaleta.

Co właściwie premier miał na myśli? I na czym będzie polegać to „nie cofnięcie nogi"? Interpretacji tych słów jest przynajmniej kilka, ale wszystkie sprowadzają się do jednego: już dzisiaj między duży i małym pałacem idzie na ostro, a będzie jeszcze ostrzej.

Po pierwsze, za chwilę wkraczamy w kampanię parlamentarną, przynajmniej oficjalnie, bo nieoficjalnie ta trwa już od tygodniu. Dla wyborców Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy rozliczenia rządów PiS są ważne, nawet kluczowe, co wynika z niemal wszystkich badań, także z niedawnego sondażu CBOS.

Włodzimierz Czarzasty na Campusie Polska Przyszłości w sierpniu do młodych ludzi mówił tak: „Zwycięstwo jest możliwe, ale – do cholery jasnej – podnieście głowy! Ci ludzie, którzy na nas głosowali sześć lat temu, spodziewają się po nas skuteczności. I my musimy to zrobić!"

Tusk, na swój sposób powtarza te słowa. Dlatego można się spodziewać, że rozliczenia przybiorą na sile. Będzie dużo o tym, co PiS robiło podczas swoich rządów, a z każdym dniem mamy kolejne tego odsłony, żeby wspomnieć chociażby o aferze Zondacrypto, w której wypływają co rusz nowe nazwiska polityków prawicy, ale są też inne sprawy. W tym tygodniu CBA zatrzymało Annę Plakwicz i Piotra Matczuka w ramach śledztwa dotyczącego nieprawidłowości w Polskiej Fundacji Narodowej. Plakwicz zasiada na fotelu dyrektorskim w Kancelarii Prezydenta jako ekspertka od PR-u. Matczuk pracuje w TV Republika. Wcześniej odpowiadali za kampanie PiS.

- Przyjdzie sprawiedliwość i przyjdzie moment rozliczenia również pana prezydenta i jego urzędników. Jeden właśnie został zatrzymany - to nie dziwię się, że po prostu jest wycie. Jest wycie - znakomicie. Boli, bo się boją – zapowiedział Włodzimierz Czarzasty i zdaje się, że tak się właśnie dzieje.

Podejrzani usłyszeli zarzuty wyrządzenia Polskiej Fundacji Narodowej szkody majątkowej w wielkich rozmiarach w związku z kampanią Sprawiedliwe Sądy Grozi im do 10 lat więzienia. Prokurator zastosował wobec nich dozór policji połączony z zakazem kontaktowania się z innymi podejrzanymi oraz zakaz opuszczania kraju.

Więc rozliczenia, to jedna sprawa, kolejna – zaprowadzenie porządku w instytucjach państwa. Przedsmak tego, co może nastąpić, już mamy. Minister Waldemar Żurek odwołał dotychczasowego rektora Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, dr. Michała Sopińskiego, uważanego za człowieka Ziobry. Obowiązki szefa uczelni przejął prof. dr hab. Sławomir Cudak, który określił ją jako „oblężoną twierdzę" i wskazał na nieprawidłowości finansowe oraz zatrudnianie działaczy Solidarnej Polski za czasów poprzednika.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości mocno protestowali przeciwko tym zmianom. W budynku AWS zamknęła się posłanka PiS Maria Kurowska, prowadziła nawet głodówkę w „intencji ratowania ojczyzny". Kurowska w końcu budynek opuściła, a inni działacze PiS i dziennikarze telewizji Republika, którzy koczowali pod uczelnią, też najwyraźniej uznali, że nic nie wskórają i wrócili do pracy.

Opozycja, ale też otoczenie Karola Nawrockiego, uważają, że teraz przyjdzie czas na „posprzątanie Trybunału Konstytucyjnego". Mamy w tej chwili razem z Maciejem Berkiem, którego prezydent jeszcze w Pałacu Prezydenckim nie przyjął, ośmiu członków TK wybranych przez obecny Sejm. To większość w 15-osobowym składzie. Karol Nawrocki nie odebrał jednak ślubowania od czworga z siedmiu wcześniej wybranych sędziów. Według przedstawicieli KPRP w ich przypadku w Sejmie doszło do błędów. Sędziowie złożyli więc podczas uroczystości ślubowanie z formułą, że czynią to „wobec prezydenta". KPRP nie uznaje tego za ślubowanie, a prezes TK Bogdan Święczkowski nie dopuścił ich do orzekania. Sytuacja może się powtórzyć w przypadku Macieja Berka.

Ale to nie jedyny problem Trybunału Konstytucyjnego. Ten może w 2027 roku zostać bez budżetu, a w konsekwencji bez możliwości normalnego działania. Pod koniec sierpnia minister finansów Andrzej Domański poinformował, że w projekcie budżetu państwa na 2027 roku nie uwzględniono dochodów i wydatków TK. Resort tłumaczył, że przekazana przez Trybunał informacja nie została wcześniej uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne sędziów, czego wymagają przepisy. Bogdan Święczkowski przekazał ministrowi projekt budżetu mimo braku uchwały Zgromadzenia Ogólnego, wskazując, że dwukrotnie nie udało się go przyjąć z powodu braku kworum.

Opozycja od tygodni podnosi, że ekipa rządząca będzie chciała przejąć TK siłą. Nic takiego się nie stało, ale Donald Tusk nigdy nie ukrywał, że chce zrobić w tej instytucji porządek, stąd misja jego prawej ręki – Macieja Berka właśnie.

Kolejny krok rządzących? Jak twierdzą Kamil Dziubka i Andrzej Stankiewicz, twórcy słuchowiska politycznego „Stan Wyjątkowy", teraz Waldemar Żurek doprowadzi do rewolucji w Prokuraturze Generalnej, by pozbyć się ludzi Ziobry z kluczowych stanowisk, na których zostali zabezpieczeni przez PiS tuż przed zmianą władzy.

Czy tak się stanie? Nie wiadomo. Jasne jest jedno: w tej kampanii parlamentarnej nikt nie będzie brał jeńców.

eprasa.pl 6d5d1d980e

WYWIAD

Marcin Piotrowski: Zło rodzi kolejne zło

- Tę zbrodnię popełnił jeden człowiek, a nie społeczność ukraińska - podkreśla Marcin Piotrowski ze Stowarzyszenia Folkowisko, apelując o spokój i nie eskalowanie atmosfery wokół tragicznego ataku nożownika w Jarosławiu

Kinga Dereniowska

Jak pan skomentuje to, co dzieje się na platformach społecznościowych, po wydarzeniach w Jarosławiu?

Wydarzyła się wielka tragedia. Z przerażeniem patrzę na to, co dzieje się w internecie, i na to, jak zło rodzi kolejne zło. Potrzebujemy oddechu, chwili milczenia i uspokojenia tych emocji, które najwyraźniej zostały wzburzone specjalnie po to, by wywołać napięcie. Ostatnio na Podkarpaciu mamy trudny czas po alarmach, które wywołały strach. To, co się stało w czwartek w Jarosławiu, dolewa oliwy do ognia, wywołując olbrzymie emocje. Musimy więc zrobić to, co radzą psychologowie w sytuacji kryzysowej – wziąć oddech. Nie dajmy się napędzać złym emocjom. Poczekajmy i nie ferujmy wyroków. Trzeba poczekać na opinię biegłych, wyniki dochodzenia prokuratury. Najgorsze jest uogólnianie. Potrzebne jest teraz skupienie, pomyślenie o ofiarach, a nie wykorzystywanie tej tragedii do niszczenia innych ludzi i przepychanek politycznych. Takie działania mają nas prowokować i polaryzować. A nam trzeba spokoju i opanowania. O to apeluję i o to proszę.



KLAUDIA ORONOWICZ-CHUDZIK

W sobotę ulicami Jarosławia przeszdł marsz milczenia po tragedii, jaka rozegrała się w tamtejszym klasztorze

Rozczarowuje pana postawa niektórych polityków, którzy na tej tragedii próbują ugrać kapitał polityczny?

Bardzo mnie to martwi, smuci i niepokoi. To są liderzy opinii publicznej. Jeśli nasi przedstawiciele żerują na największych emocjach, aby zdobyć poklask i zasięgi, to moim zdaniem jest to wręcz współudział w zbrodni. Niepokoi mnie także wykorzystywanie tragedii ofiar i osób poszkodowanych do partykularnych działań i budowania własnej marki. Takie czyny nie są godne człowieka.

Jakie powinniśmy wyciągnąć wnioski z tej sytuacji?

Jesteśmy w momencie wojny kognitywnej, czyli wojny o nasze serca i umysły. Działania tego typu są prowadzone po to, aby podburzać nastroje. Najprawdopodobniej prowadzona jest wobec nas wojna psychologiczna po to, aby zaognić sytuację i sprawić, żebyśmy nie czuli się bezpiecznie. To, co ja widzę w tej chwili w internecie, to lincz słowny i odpowiedzialność zbiorowa. Tę zbrodnię popełnił jeden człowiek, a nie społeczność ukraińska. Wylewa się zło. Wykorzystano to, że to jest obywatel Ukrainy, a nastroje antyukraińskie są obecnie silne. Jego wiek posłużył do wzniesienia haseł „dlaczego on nie służy w armii". Do tego dochodzi zbrodnia na księżach, którzy cieszą się dużym autorytetem. Oprócz tego niektórzy politycy zaczęli odwoływać się do rzezi wołyńskiej. To jest chore i nieakceptowalne

Gdzie szukać granicy między tym, co zrobił jeden mężczyzna, a stygmatyzowaniem wszystkich Ukraińców?

Powinna być postawiona od razu. Media też mają sporo na sumieniu. Klikbaitowe nagłówki o tym, że „Ukrainiec zabił", były podstawą przekazu. Na pierwszym miejscu nie stawiano ofiary, lecz zbrodniarza. Czy to, że zrobiła to osoba obywatelstwa ukraińskiego, jest najważniejszym elementem tej tragedii? Wątpię. O wiele ważniejsze są osoby, które ucierpiały oraz społeczność, która straciła swoich pasterzy. Trzeba deeskalować tę sytuację i wyciszyć emocje wśród ludzi. Nie dajmy sobą manipulować politykom oraz zewnętrznym siłom, które chcą nam w głowach mocno namieszać.

REKLAMA 0011548563

Ochrona ludności i obrona cywilna

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji

MINUTA DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA

Znasz sygnały alarmowe?
Wiesz, gdzie się schronić?
Jak spakować plecak ewakuacyjny?
Jak reagować na zagrożenia?



TVP 1

Oglądaj program
Minuta dla Twojego bezpieczeństwa
sobota 14:15, niedziela 18:25

eprasa.pl 6d5d1d980e

ANALIZA

Hasło „wojna hybrydowa” pasuje Rosji i już jest nieaktualne

Ataki hybrydowe, wojna hybrydowa – przymiotnik „hybrydowy” odmieniamy w każdym przypadku opisując wrogie działania Rosji wobec państw europejskich, w tym Polski. To błąd. Taka interpretacja służy celom Moskwy, która ciągle eskaluje wrogie akty, ale tak, by pozostawało to wciąż poniżej progu otwartej wojny konwencjonalnej. Dla Rosjan to od dawna wojna, a nie coś hybrydowego. Ta asymetria w opisie aktów sabotażu, dywersji, zamachów, innych działań o charakterze zbrojnym utrudnia nam podjęcie adekwatnej odpowiedzi

Grzegorz Kuczyński

Wrogą aktywność Rosji wobec Europy można było opisywać jako wojnę hybrydową, ale co najmniej pół roku temu. Wtedy jeszcze nie było takiej intensywności kinetycznych aktów przemocy, jak teraz. Większość aktywności Moskwy stanowiły działania dezinformacyjne, propagandowe, cyberataki. Nawet drony były wykorzystywane przede wszystkim do działań rozpoznawczych, a nie ataków.

Eskalacja wojny z Europą

Dziś widać, że była to pierwsza faza wojny, jaką Rosja prowadzi z Zachodem. Rozpoznanie (pamiętamy doniesienia o kamerach przy liniach kolejowych) i testowanie reakcji poprzez nie tak liczne jednak akty sabotażu – głównie podpalenia. Przygotowywanie schematów, które od paru miesięcy Rosja wykorzystuje na coraz większą skalę.

Dziś mamy drugą fazę wojny. Nie tylko lawinowo wręcz przybywa aktów sabotażu i prób dywersji, ale też są one coraz groźniejsze. Rosja używa do tego nie tylko – zarządzanych przez oficerów wywiadu - tzw. jednorazowych agentów (jak widać, choć ten problem kontrwywiady europejskie zdiagnozowały dawno temu, nie znalazły adekwatnej odpowiedzi), ale też w coraz większym stopniu swoich sił zbrojnych. Vide wtargnięcie dronów rok temu do Polski, uderzenie pocisku manewrującego na Lubelszczyźnie, czy naruszenie przestrzeni powietrznej przez rosyjski śmigłowiec z obwodu królewieckiego.

Definicja ma znaczenie

Przede wszystkim należy uświadomić sobie, że dla rosyjskiego kierownictwa polityczno-wojskowego jest to WOJNA. Choć wojna prowadzona w inny sposób, niż z Ukrainą. Moskwie zależy na utrzymaniu tego konfliktu poniżej progu, który dałby NATO pretekst do zastosowania art. 5. Najgorsze jest to, że Rosja miesiąc po miesiącu przesuwa „czerwoną linię”, czyli pozwala sobie na coraz więcej, bo nie spotyka się z twardą reakcją atakowanych krajów. Wojownicza retoryka czołowych polityków to za mało. Wciąż tylko reagujemy. Gasimy pożary, podrywamy samoloty, ogłaszamy alarmy.

Fakt, że kraje europejskie – w większości – opisują działania rosyjskie jako „ataki hybrydowe”, lub przed takowymi ostrzegają, odpowiada Moskwie. No bo skoro agresja jest hybrydowa, to nie można użyć art. 5. Zresztą Rosjanie wiedzą, że znaczącej części zachodnich elit to odpowiada, bo po prostu boją się one poważnej konfrontacji i wolą chować głowę w piasek – ewentualnie tylko strasząc swoich obywateli.

Każdy z atakowanych krajów właściwie radzi sobie samemu. Nie ma koordynacji działań, nie ma zdecydowanego stanowisk CAŁEGO NATO. Lub choćby jego europejskiej części, będącej cele rosyjskich ataków. Używanie przymiotnika „hybrydowy” usypia też tak naprawdę społeczeństwo. Bo się do tego przymiotnika dawno temu przyzwyczailiśmy. W efekcie komunikaty RCB czy syreny alarmowe większości z nas nie poruszają.

Coś więcej niż „terroryzm państwowy”

Jak więc określać wrogie działania Rosji? Ostatnio coraz częściej pojawia się określenie „terroryzm państwowy”. I to już jest krok w dobrym kierunku. Ale w takim razie trzeba pójść dalej. Skoro już przypiszemy Rosji jako państwu działania terrorystyczne, to trzeba wyciągać konsekwencje. Ale jak to robić, skoro dopiero co Francja – kierując się własnym egoistycznym interesem – zadała cios polityce unijnych sankcji (sprawa oligarchów Usmanowa i Fridmana)? Zresztą „terroryzm państwowy” nie w pełni oddaje istotę działań rosyjskich.

One mają dużo szerszy zakres, nie tylko sabotaż, dywersja, zamachy. Jest też mapowanie infrastruktury krytycznej Zachodu chociażby. Jest wciąż agresywnie prowadzona wojna kognitywna – a więc takie podstępne techniki dezinformacyjne, które sprawiają, że na Zachodzie pojawiają się oceny, opinie i głosy, które wydają się ich autorom ich własnymi przemyśleniami, a de facto jest to mówienie tego, co jest zgodne z celami Kremla.

Dobra analiza to dobre wnioski

Jesteśmy dziś w stanie wojny z Rosją – i to trzeba sobie uświadomić wreszcie. Jeśli nie chcemy tego przegrać. Wojny mają różny charakter. Ta charakteryzuje się tym, że Rosjanie wciąż przesuwają granicę, podnoszą próg. Pamiętamy przecież dyskusję, jak reagować na wtargnięcia rosyjskich samolotów w przestrzeń powietrzną NATO. Mówiło się nawet o ich zestrzeliwaniu. To było ponad rok temu. I co? Zmieniło się coś w polityce obronnej NATO od tamtej pory?

Dobrym przykładem, jak bardzo odmiennie obie strony postrzegają konfrontację Rosji z Zachodem jest kwestia polityki historycznej/polityki pamięci. Tak, te terminy są nam doskonale znane. Problem w tym, że po stronie rosyjskiej od wielu lat funkcjonuje inne określenie: „wojny pamięci”. Podkreślę, „wojny”.

Jeśli nie zdefiniujemy na nowo tego konfliktu, który mamy dziś z Rosją, to nie znajdziemy odpowiednich środków, by skutecznie przeciwdziałać eskalacji wrogich działań Moskwy.



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Władimir Putin z szefami służb i wojska

eprasa.pl 6d5d1d980e

FESTIWAL W GDYNI

Polskie kino wychodzi poza schematy

Tegoroczna gala to dowód na to, że jury i publiczność mogą znaleźć wspólny język. Złote Lwy zdobył film „Przez ścianę„ Macieja Sobieszczańskiego, a Paweł Pawlikowski otrzymał nagrodę za reżyserię

Martyna Kucybała, Maja Czech

–Maciej Sobieszczański nie krył emocji, choć przyznał, że ze względu na doświadczenie, ma dziś do nagród pewien dystans - Jestem naprawdę dojrzałym człowiekiem i dojrzałym twórcą, więc bardzo się cieszę, że nasza praca została doceniona.

Zdaniem laureata Złotych Lwów, film swój sukces zawdzięcza uniwersalnemu językowi uczuć i głębokiej potrzebie tworzenia.

- My zrobiliśmy ten film w poczuciu wielkiego obowiązku, żeby ta historia nas połączyła, żeby była nasza wspólna. Ten film jest o miłości, ale też jest robiony językiem miłości, więc trudno, żeby chciał kogoś dzielić - zadeklarował.

Reżyser przyznał także, że nagroda w Gdyni z pewnością wpłynie na plany dystrybucyjne.

- Siła promocyjna tego festiwalu jest ogromna - zauważył - Wszyscy myśleliśmy, że jeżeli dostaniemy tu jakieś nagrody, to wypuścimy film wcześniej, bo premierę planowaliśmy dopiero na marzec.

Twórcy „Przez ścianę" liczą też na zaproszenia do udziału w festiwalach zagranicznych, o których już trwają rozmowy.

- Czesław Miłosz powiedział, do czego służy twórca. „Sekretarzem jestem". Ja jestem po prostu sekretarzem tej historii, pokornym jej sługą. I czekam na kolejne piękne historie, które do mnie, mam nadzieję, przyjdą, jeżeli będę miał wystarczająco otwarte serce - stwierdził reżyser .

Do Gdyni po latach wrócił Paweł Pawlikowski, z zachwytem opowiadający o samej gali, która zmieniła się od jego ostatniej wizyty w 2018 roku.

- Była bardzo udana i żywa, i śmieszna, dowcipna, lekka.

Dodał też, że zaskoczyła go liczba nowych twarzy i młodych twórców, zarówno wśród nominowanych, jak i nagrodzonych.

Pawlikowski otrzymał nagrodę za reżyserię filmu „Ojczyzna", którego akcja dzieje się w powojennych Niemczech. Zapytany o inspirację mówił o poczuciu zagubienia we współczesnym świecie, które potrafił wyrazić tylko poprzez historię.

- Impuls był taki - zagubienie w świecie, który się rozsypał. Kultura w ruinach. Współcześnie zagubienie objawia się w jeszcze bardziej podstępny sposób, bo to się dzieje nie fizycznie, tylko wewnątrz nas i w sferze cyfrowej. Aby to opisać sięgnąłem więc po historię, która się już kiedyś wydarzyła i do dziś niesie za sobą pewne echa.

Nagrodę za główną rolę kobiecą otrzymała Jaśmina Polak za rolę w filmie „Exotic". Aktorka nie kryła zaskoczenia.

Nie wiem, jak ludzie to robią - przyznała żartobliwie tuż po odebraniu nagrody - To są bardzo trudne emocje. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

„Exotic" to film o 30-letniej Mili, która jedzie sama na obóz pole dance, choć w rzeczywistości mówi o czymś znacznie głębszym.

- Najpiękniejszym tematem tego filmu jest to, że siostrzana miłość i braterstwo jest właśnie kluczem do, do tego, żeby rosnąć i się rozwijać. Chodzi o wychodzenie spoza własnej strefy komfortu, żeby połączyć się z ludźmi, z którymi inaczej nigdy w życiu nie zamienilibyśmy zdania - dodaje.

Jaśmina podzieliła nagrodę aktorską z Moniką Frajczyk, która za ten sam film otrzymała statuetkę dla najlepszej aktorki drugoplanowej. Frajczyk mówi, że cały projekt „Exotic" to fenomen wynikający z wieloletnich przyjaźni.

Z Bartkiem Bielenią byłam na jednym roku na studiach - mówi Monika Frajczyk. - Z Jaśminą też znam się ze szkoły. Sonię reżyserkę znam od wielu lat i jestem bardzo szczęśliwa, że ten świetny scenariusz ma taki kolejny przystanek jak ten festiwal.

„Exotic" wejdzie do kin w marcu 2027.

Jedną z najważniejszych nagród FPFF jest Złoty Pazur. Nagrodę za odwagę artystyczną otrzymała Agnieszka Smoczyńska za film „Hot spot".

- Złoty Pazur jest za bezkompromisowość, za poszukiwanie nowego języka. I taki jest nasz film - mówi Smoczyńska -To próba opowiedzenia o świecie w zupełnie inny sposób niż do tej pory znamy. Bardzo się cieszę, że została doceniona.

Reżyserka, podobnie jak Paweł Pawlikowski, zauważyła, że festiwal otwiera się na młode talenty i nowe pokolenie twórców.

- Mam wrażenie, że polskie kino otwiera się na gatunek i na debiutantów. Debiuty wnoszą coś świeżego, zupełnie inny sposób opowiadania.

W tym roku podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych pojawiły się filmy odważne i nietuzinkowe. Mieszało się wiele gatunków za pomocą filmów historycznych, biograficznych, horrorów czy czarnych komedii. Co zostanie z nami po zakończeniu tegorocznej edycji festiwalu? Z pewnością świadomość, że polscy twórcy nie boją się tworzyć oryginalnych produkcji.

Najważniejsza nagroda festiwalu trafiła do Macieja Sobieszczańskiego za film „Przez ścianę". Czarno-biała opowieść o Wiesi i Jurku, więźniach stalinowskiego więzienia, którzy zakochują się, komunikując się alfabetem Morse'a przez ścianę sąsiednich cel, od początku wzbudzała ogromne zainteresowanie. Historia jest tym bardziej niezwykła, że oparta została na faktach, a Wiesława Pajdak i Jerzy Śmiechowski po raz pierwszy zobaczyli się dopiero podczas ślubu w więzieniu, a później przeżyli razem 55 lat.

Wśród filmów, które szczególnie mocno rezonowały podczas festiwalu, znalazło się „Powiedz mi, co czujesz" Łukasza Rondudy. Film opowiadający o artyście Patryku Różyckim otrzymał Srebrne Lwy, a Jury doceniło jego wrażliwość. To film o młodym pokoleniu, które momentami aż za bardzo mówi o emocjach. Film jest bardzo przeterapeutyzowany, a w tym również bardzo trafny.

Dużo emocji wzbudzał również „Hot spot" Agnieszki Smoczyńskiej. Można go kochać, można go krytykować, ale trzeba przyznać, że ta noc należała do reżyserki. Film został nagrodzony Złotym Pazurem im. Andrzeja Żuławskiego za wyjątkowy kształt artystyczny. Dostał też nagrody za kostiumy, muzykę i dźwięk.

Podczas festiwalu odbyły się także pokazy „Ojczyzny" Pawła Pawlikowskiego. Reżyser po raz kolejny pokazał kino bardzo precyzyjne wizualnie, za co otrzymał nagrodę indywidualną.

Tegoroczny festiwal pokazał też, że polskie kino coraz chętniej wychodzi poza dobrze znane schematy. Szczególnie ciekawym przykładem było „Òpi" Marty Giec, horror wykorzystujący kaszubskie wierzenia, rodzinne traumy i atmosferę sennego koszmaru. Wiktoria Kruszczyńska i Gabriela Muskała stworzyły relację matki i córki, która sama w sobie staje się źródłem niepokoju.

Zupełnie z innej strony znalazł się „Kalafior przeznaczenia", czyli absurdalna, autorska historia, w której bohaterka rozmawia z tytułowym warzywem przemawiającym głosem Adama Woronowicza. Film był jednocześnie komedią i opowieścią o potrzebie akceptacji oraz bycia zauważonym, a dla Mai Michnackiej był to pełnometrażowy debiut.

Po kilku dniach można powiedzieć jedno: filmy prezentowane w Gdyni były bardzo różne, co jest wielkim plusem tej edycji. Obok wielkich nazwisk znalazło się miejsce dla debiutantów. Obok historii Polski dla horroru, absurdu i współczesnych problemów młodego pokolenia. Obok „Ojczyzny" Pawlikowskiego dla „Òpi" i „Kalafiora przeznaczenia".

Festiwal zakończył się takim poczuciem, że polskie kino przestaje mówić jednym głosem. Zaczyna być odważne, szalone, radosne. Opowiada o traumach, ale bez tego polskiego patosu. Mniej w nim cierpienia, a więcej radości z tworzenia. Takiego kina życzymy sobie w Polsce.



FOT. FOT. KAROLINA MISZTAL

Maciej Sobieszczański nie krył emocji, choć przyznał, że ze względu na doświadczenie, ma dziś do nagród pewien dystans

eprasa.pl 6d5d1d980e

SPOŁECZEŃSTWO

Pokolenie Alfa. Samotne „dzieci ekranów i AI”?

Pokolenie Alfa, czyli 13-16-latki, kolejny tydzień są na ustach wszystkich. To za sprawą dość przygnębiającego raportu Fundacji Półtorej Minuty. Czy faktycznie to samotne, rozmawiające z chatbotami „dzieci smartfonów” i sztucznej inteligencji? Chyba nie jest tak źle

Małgorzata Oberlan



FOT. PEXELS



FOT. CENTRUM ROZWOJU I TERAPII

Monika Kaźmierczak, psycholożka (na zdjęciu z prawej): – Alfy to nastolatki, które patrzącym z boku dorosłym wydają się samotne i zanurzone tylko w smartfonach. Tymczasem one same uważają, że mają „mnóstwo znajomych”. Tyle że komunikują się z nimi, korzystając z wszelkich możliwych „protez”, a rzadziej w realu. Mogą wcale nie wychodzić z domu

Raport „Alpha Insights” to owoc pierwszego polskiego badania poświęconego najmłodszemu pokoleniu nastolatków. Chodzi o osoby urodzone po 2010 roku, czyli obecne młodsze nastolatki (13-16 lat).

Autorzy – Fundacja Półtorej Minuty, zajmująca się specjalnie tym pokoleniem właśnie – połączyli pogłębione badanie jakościowe z analizą blisko 70 krajowych i zagranicznych badań. Jak sami podkreślają, ich część jakościowa (wywiady z nastolatkami) nie jest badaniem reprezentatywnym, ale pozwala usłyszeć głos młodych.

– Jak przy każdym takim raporcie, byłabym ostrożna przy jego interpretacji. Bezsprzecznie jednak „Alpha Insights” ma sporo trafnych tropów. Alfy to nastolatki, które patrzącym z boku dorosłym wydają się samotne i zanurzone tylko w smartfonach. Tymczasem one same uważają, że mają „mnóstwo znajomych”. Tyle że komunikują się z nimi, korzystając z wszelkich możliwych „protez”, a rzadziej w realu. Mogą wcale nie wychodzić z domu – mówi Monika Kaźmierczak, doświadczona psycholożka z Torunia, twórczyni Centrum Rozwoju i Terapii, a prywatnie – mama trzynastoletniej Alfy.

Alfy tłumaczą dorosłym: nie róbcie diabła z ekranu i internetu

Raport sporo miejsca poświęca temu, co dorosłych tak niepokoi, intryguje. „Pokolenie ekranów” i „iPad kids” – tak nie tylko w Polsce, ale i Europie mówi się o tym pokoleniu. Często nie tylko z troską, ale i przerażeniem. Widok dzieciaków zanurzonych w telefonach albo samotnie wysiadujących godzinami przed innym ekranem to dla wielu dorosłych symbol pokolenia Alfa.

Tymczasem z raportu wynika, że całkowicie naturalne dla 13-16-latków narzędzia i środowisko cyfrowe to żaden problem. Po prostu to świat, w którym się rodzą i dorastają (sami sobie go nie zafundowali). Identycznie jak komunikatory, którymi się posługują. Dorosłym znacznie trudniej dostrzec presję, którą nastolatek nosi ze sobą przez cały dzień. Autorzy raportu wskazują, że problemy Alf nie sprowadzają się do technologii. Zresztą dane przywołane przez nich podważają kilka popularnych stereotypów. Reprezentatywne polskie badanie EU Kids Online 2026 wykazało, że 92,8 proc. uczniów w wieku 10-16 lat nie zgłasza ani jednego nasilonego objawu problematycznego korzystania z internetu!

To co jest ich problemem? „To pokolenie cudzych oczekiwań” – piszą autorzy raportu. Cytują też Alfy, z którymi rozmawiali. Dzieci frustrują oczekiwania rodziców i szkoły, dotyczące ocen. Cierpią z powodu zaburzonych relacji w rodzinie. Boją się podejmowania decyzji i narzekają, że o swojej przyszłości (co robić dalej, gdzie się uczyć i potem pracować) muszą decydować, zanim odkryją, kim są i czego chcą naprawdę.

Telefon? Internet? Nastolatkowie proszą dorosłych właśnie o to, by nie sprowadzać wszystkiego do „tych strasznych ekranów”. Ich codzienność to także ogromna presja edukacyjna czy problemy z relacjami.

Psycholog z Torunia: „Boją się, że AI zabierze im pracę i posady”

„Dzieci sztucznej inteligencji” – to kolejne określenie na Alfy, powtarzane w Polsce i na świecie. Już choćby z badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii wynika, że co ósmy młodszy nastolatek deklarował, że rozmawia z AI, bo nie ma z kim pogadać. Z polskich badań zaś wynika, że dzieci 9-14 lat, kierujące pytania do AI, dotyczące potrzeb psychicznych, mają niższy dobrostan niż te, które są w domu pytane o codzienne sprawy.

Co ważne, młodzi uczestniczący bezpośrednio w „Alpha Insights” byli wobec powierzania AI emocji raczej sceptyczni. Część dobrze rozumie, że za chatbotem nie stoi prawdziwa relacja z drugim człowiekiem.

– Mimo wszystko wielu z nich rozwiązania problemów emocjonalnych oczekuje od AI właśnie. Tak wynika też z naszych doświadczeń – mówi Monika Kaźmierczak, doświadczona psycholożka z Torunia, twórczyni Centrum Rozwoju i Terapii w tym mieście, które trzeci rok bezpłatnie służy wsparciem nastolatkom właśnie (13-18 lat), ich rodzicom i nauczycielom. Bezpłatnie, profesjonalnie i nie tylko w Toruniu, ale też w Kujawsko-Pomorskiem.

Sztuczna inteligencja zaprząta głowy Alf z różnych powodów. – Przekonujemy się o tym na wiele sposobów. Ostatnio choćby podczas Toruńskich Dni Dialogu, na których AI stała się głównym tematem dyskusji podczas spotkania z nastolatkami. Wybrzmiał z ich głosów strach przed tym, że AI zabierze im w przyszłości pracę i posadę – relacjonuje Monika Kaźmierczak.

Jak Alfy mają sobie z tą AI radzić? Centrum Rozwoju i Terapii w Toruniu także w tym obszarze służy pomocą. Prowadzi nie tylko porady psychologiczne i terapeutyczne dla nastolatków, ale też dla ich rodziców, oraz warsztaty i szkolenia dla nauczycieli nastolatków. Zaprasza regularnie na spotkania ze specami od AI, środowiska cyfrowego, relacji i emocji.

– Zapotrzebowanie na takie fachowe, ale bezpłatne wsparcie jest ogromne. Krócej na spotkania czekają uczestnicy naszego programu „DobreStany”, dedykowanego uczniom szkół podstawowych (klasy 6-8) i ponadpodstawowych oraz ich nauczycielom i rodzicom z Torunia, bo 2-3 tygodnie. Listy oczekujących z całego regionu natomiast, uczestniczących w naszym drugim programie („Rodzina w Centrum”), liczą sobie setki nazwisk – mówi Monika Kaźmierczak.

Nie buntują się, bo są przygnębieni. Zła ocena psuje im cały dzień

Wracając do samego pokolenia Alfa i raportu, trzeba zaznaczyć, że jego przygnębiający wydźwięk to zasługa konstatacji, że „Alfy nie myślą o buncie”. Z cytowanych badań wynika, że to pokolenie bardziej żyje pod presją, w rozmaitych obawach i przygnębieniu, niż w naturalnej dla młodych potrzebie rewolucjonizowania świata.

Gdy badacze pytali nastolatków o samopoczucie, dwa źródła napięcia pojawiały się szczególnie często: relacje z najbliższymi oraz szkoła. Prawie połowa uczestników wskazywała, że to konflikty z bliskimi są dla nich silnym źródłem napięcia i mogą wpływać na samopoczucie przez cały dzień. Podobna część mówiła o frustracji spowodowanej złymi ocenami. Szczególnie gdy nie odpowiadały one wysiłkowi włożonemu w naukę.

– I to w moim odczuciu są kolejne wątki ponadczasowe, uniwersalne dla każdego chyba pokolenia dorastających nastolatków. Podobnie jak pytania o to, czy sobie poradzę jako dorosły w tym świecie, czy sprostam oczekiwaniom etc. Oczywiście, pokolenie Alfa dorasta w innym otoczeniu (choćby technologicznym) niż jego poprzednicy, ale wbrew pozorom pewne sprawy pozostają niezmienne – podkreśla psycholożka.

Co mówią młodzi?

Wielu czytelników raportu „Alpha Insight” najbardziej zainteresowały nie tyle analizy badań już przeprowadzonych w Polsce i na świecie, co głos polskich Alf. Ten, który jest efektem badań jakościowych Fundacji Półtorej Minuty. Jakie najważniejsze wnioski z nich wynikają?

Nie chcą być sprowadzani do telefonu. Poza światem cyfrowym mają przyjaźnie, zainteresowania, plany i własny sposób patrzenia na rzeczywistość. Chcą, aby dorośli próbowali zrozumieć warunki, w których dziś dorastają, zamiast oceniać ich wyłącznie przez doświadczenia poprzednich pokoleń.

Szkoła zajmuje ogromną część ich życia. Nauka i obowiązki szkolne pochłaniają czas i energię, których później brakuje na hobby, sport czy spotkania z bliskimi.

Źródłem napięcia nie jest wyłącznie internet. Nastolatki wskazują przede wszystkim konflikty z bliskimi, oceny, presję szkolną i obawy związane z przyszłością. Z trudnymi emocjami częściej radzą sobie przez sport, hobby, film czy odwracanie uwagi niż przez rozmowę o tym, co czują.

Przyszłość oznacza dla nich niepewność. Za szczególnie ważne kompetencje uznają elastyczność, krytyczne myślenie i komunikację.

Absolutnie najcenniejszy wniosek z raportu może być bardzo prosty: zanim dorośli zaczną diagnozować pokolenie Alfa, warto je pytać i wysłuchać. Smartfon jest częścią ich świata, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Poza szklanym ekranem są relacje, szkoła, presja, marzenia i pytanie o przyszłość.

©℗

eprasa.pl 6d5d1d980e

MATERIAŁ INFORMACYJNY PKO BANKU POLSKIEGO
0011588930

Oddział PKO Banku Polskiego w Warszawie – nowa lokalizacja, nowa przestrzeń

Oddział 58 w Warszawie jest dostępny dla klientów w nowej lokalizacji przy al. Krakowskiej 281. Placówka została przeniesiona z ul. Grójeckiej 186. Większa i funkcjonalnie zorganizowana przestrzeń zapewnia klientom lepszy komfort obsługi i nowe udogodnienia.



W oddziale są dwa stanowiska obsługi. Klienci mogą korzystać też z pokoi spotkań, które zapewniają większą wygodę i prywatność podczas rozmów z doradcami. W placówce powstał interaktywny kącik dla najmłodszych, dzięki któremu rodzice mogą spokojnie załatwić swoje bankowe sprawy. Do dyspozycji klientów jest też stanowisko samoobsługowe, przy którym można samodzielnie wykonać m.in. przelewy i inne podstawowe operacje bankowe. Oddział wyposażony jest także w nowe całodobowe urządzenia samoobsługowe: bankomaty z funkcją wpłaty.

Oddział dostępny dla wszystkich

Modernizacja objęła również rozwiązania ułatwiające korzystanie z placówki osobom z niepełnosprawnościami. Stanowiska obsługi znajdują się na poziomie parteru, dzięki czemu klienci mogą swobodnie korzystać z placówki.

– Nowa przestrzeń daje nam przede wszystkim więcej możliwości w codziennej pracy z klientami. Mamy wygodne miejsce do rozmów, lepiej zorganizowaną strefę obsługi i rozwiązania, które ułatwiają klientom korzystanie z usług banku. Zależy nam, żeby podczas wizyty każdy czuł się komfortowo i miał zapewnione warunki do spokojnej rozmowy z doradcą. Jednocześnie chcemy wspierać klientów w samodzielnym korzystaniu z dostępnych rozwiązań samoobsługowych – mówi Marcin Pilgun, dyrektor Oddziału 58 w Warszawie.

Edukacja klientów w zakresie bezpieczeństwa

Bezpieczeństwo klientów jest ważną częścią codziennej pracy doradców. Podczas rozmów z klientami regularnie przypominają, jak bezpiecznie korzystać z bankowości zdalnej i na co zwracać uwagę, aby nie paść ofiarą oszustwa. Szczególnie uczulają na sytuacje, w których ktoś kontaktuje się telefonicznie i podaje za pracownika banku.

Doradcy przypominają, że w aplikacji IKO można sprawdzić, czy dzwoni do nas prawdziwy pracownik banku. Warto też zachować ostrożność, gdy rozmówca prosi o przekazanie pieniędzy, wykonanie przelewu lub podanie poufnych informacji.

Pracownik banku nigdy nie poprosi o login i hasło do bankowości, kod BLIK czy pełne dane karty. Nie będzie też namawiał do instalowania nieznanej aplikacji ani prosił o przelew na wskazane konto. Przy zwykłej weryfikacji tożsamości nie będzie również wymagał podania pełnych danych osobowych.

Takie przypomnienia pomagają klientom lepiej rozpoznawać próby oszustwa i reagować, gdy telefon lub wiadomość od rzekomego pracownika banku wzbudzi ich wątpliwości.

Dni Otwarte – dobry moment na rozmowę

Do **30 września** w placówkach PKO Banku Polskiego odbywają się **Dni Otwarte**. To okazja, żeby porozmawiać z doradcą o swoich potrzebach i planach oraz poznać dostępne możliwości, m.in. dotyczące pożyczki gotówkowej, karty kredytowej i ubezpieczeń, w tym aktualnych promocji i zniżek.

Masz plan, pytanie lub potrzebę? Zacznij od rozmowy. Zapraszamy do naszych placówek na Dni Otwarte.

Trzy pytania do Marcina Pilgun, dyrektora oddziału

Jakie zmiany w codziennej obsłudze klientów pozwoliła wprowadzić nowa, zmodernizowana przestrzeń oddziału?

Nowa aranżacja przestrzeni to nie tylko odpowiedź na współczesne standardy wizualne, ale przede wszystkim realna zmiana w codziennej obsłudze klientów. Codzienną obsługę usprawniają nowoczesne, otwarte stanowiska doradcze, a osoby, które potrzebują większej prywatności, mogą skorzystać z pokoi spotkań. To dobre miejsce do spokojnej rozmowy z doradcą, szczególnie gdy dotyczy ona ważnych decyzji finansowych.

Na czym koncentrujecie się w pracy w nowym oddziale – czy są priorytety, które szczególnie trzeba zaopiekować?

Nowoczesna przestrzeń i nowe rozwiązania są ważne, ale najważniejsi pozostają dla nas klienci i ich potrzeby. Zależy nam na indywidualnym podejściu i tym, aby każdy mógł liczyć na nasze wsparcie w załatwieniu swoich spraw. Chcemy też pomagać klientom w korzystaniu z rozwiązań samoobsługowych i bankowości elektronicznej. Doradcy są zawsze gotowi, żeby pokazać, jak z nich korzystać, a jednocześnie poświęcić klientowi tyle czasu, ile potrzebuje. Dzięki temu możemy łączyć nowoczesne rozwiązania z bezpośrednim kontaktem i rozmową.

Czy modernizacja oddziału wpłynęła na sposób kontaktu z klientami – np. szybciej, wygodniej, bardziej indywidualnie?

Modernizacja zdecydowanie wpłynęła na naszą codzienną pracę i kontakt z klientami. Nowa przestrzeń jest bardziej funkcjonalna, dzięki czemu możemy sprawniej obsługiwać klientów i poświęcać im więcej uwagi. Klienci podczas obsługi mogą czuć się bardziej komfortowo, a my możemy jeszcze lepiej odpowiadać na ich potrzeby.

eprasa.pl 6d5d1d980e

AKCJA ŁATWOGANGA

Gdy walczysz o życie swojego dziecka, nie ma już czasu na lęk. Nie możesz pozwolić sobie na rozpacz

Rozmowa z Anną Tocką, mamą 9-letniego Maksa, dla którego Łatwogang zebrał ponad 12 mln zł na terapię genową dystrofii mięśniowej Duchenne'a

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od akcji Łatwoganga. To był fenomen na całą Polskę. To on Was znalazł czy Wy jego?

To był zbieg różnych okoliczności, których do końca tak naprawdę nie poznaliśmy. Mama Piotrka (Piotr Hancke – przyp. red.), która jest jego menedżerką, powiedziała nam, że Piotrek codziennie dostaje tysiące maili z prośbą o pomoc. Dlaczego spośród nich wszystkich zdecydował się pomóc akurat Maksowi? Tego nie wiem. Co ciekawe, to nawet nie my wysłaliśmy do niego maila, tylko ktoś z naszych znajomych.

Można powiedzieć: siła wyższa?

Tak. Tak miało być. W sumie można mówić, że to cud.

Uporządkujmy trochę informacje. Choroba Maksa to dystrofia mięśniowa Duchenne'a. Jego organizm nie produkuje dystrofiny, czyli takiego „rusztowania" dla mięśni. Przez to mięśnie słabną i z czasem przestają działać – to najprostsze wyjaśnienie tej skomplikowanej choroby. A przecież serce to mięsień, płuca do pracy również potrzebują mięśni... To postępująca choroba genetyczna, która dotyka przede wszystkim chłopców. Terapia genowa kosztuje około 16 milionów złotych.

Około, bo tak naprawdę cena jest różna w zależności od stanu dziecka. Każda terapia jest opracowywana dla konkretnego pacjenta. Kwota zależy też od liczby badań, które dziecko musi mieć wykonane przed podaniem terapii i później. Dlatego koszt może się różnić i w poszczególnych zbiórkach być inny.

To terapia celowana?

Tak, pod konkretny organizm. Ma sprowokować organizm do tego, żeby zaczął tworzyć coś, co przypomina krótszy łańcuch dystrofiny, tzw. mikrodystrofinę. Lekarze mówią, że w najlepszym przypadku organizm może wyprodukować nawet do 70 procent składnika, który przypomina dystrofinę. To już może wystarczyć, żeby organizm mógł normalnie funkcjonować.

Cofnijmy się do początku. Dostajecie diagnozę, że Maks jest chory. Co się wtedy czuje?

Przede wszystkim niedowierzanie. Ja bardzo długo nie mogłam pogodzić się z tą diagnozą. Myślałam, że to jakaś pomyłka. Powtarzaliśmy badania, bo nie mogliśmy uwierzyć, że to naprawdę dotyczy naszego dziecka.

Nigdy wcześniej nie słyszałam o tej chorobie. Zaczęłam więc szperać w internecie, czytać, dowiadywać się wszystkiego na jej temat. I im więcej wiedziałam, tym było trudniej. Bo kiedy dowiedzieliśmy się, że Maks jest chory, nie było jeszcze tej terapii. Nie było żadnej nadziei.

Najgorsze było chyba to, że żaden lekarz, u którego byliśmy – ani w Polsce, ani za granicą – nie powiedział nam: „Słuchajcie, da się z tym jakoś żyć". Słyszeliśmy tylko, że możemy ćwiczyć, korzystać z rehabilitacji, robić wszystko, żeby Maks jak najdłużej pozostał sprawny.

To bardzo okrutna, powolna choroba, która krok po kroku zabiera dziecku sprawność. A jeśli dziecko dożyje dorosłości, jest zdane na pomoc drugiej osoby, najczęściej rodziców. I jako rodzic masz świadomość, że właśnie taka przyszłość może czekać twoje dziecko.

Myślę sobie, że Wy nawet nie mieliście czasu na to, żeby pozwolić sobie na chwilę strachu, bo trzeba było działać.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na rozpacz. Wiedzieliśmy, że chorobę wykryliśmy późno – Maks miał już pięć lat – i że musimy jak najszybciej zacząć rehabilitację, jeździć do lekarzy, konsultować się ze specjalistami, kardiologami, pulmonologami. Robić wszystko, żeby jak najbardziej spowolnić chorobę.

Oczywiście był moment, kiedy wypłakaliśmy się i byliśmy obrażeni na cały świat, na Pana Boga i na wszystkich dookoła. Pytaliśmy: dlaczego my? Ale szybko zebraliśmy się do kupy. Powiedzieliśmy sobie, że nie ma na co czekać, trzeba działać.

Jeździliśmy wszędzie, gdzie się dało, i robiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby mu pomóc.

Czyli przełączyliście się w tryb działania?

Tak. Nie ma czasu na strach. Trzeba po prostu podjąć walkę. Tym bardziej że cały czas obok jest dziecko, które widzi, że coś się dzieje.

Maks wcześniej był okazem zdrowia. Nagle widział, że jeździmy po lekarzach, że wychodzimy z wizyt zapłakani. Widział i rozumiał, że coś jest nie tak. Dlatego dla niego też musieliśmy być silni. Kiedy był z nami, staraliśmy się być uśmiechnięci, żeby nie pokazywać mu naszego strachu.

Przyznam, że Maks bardzo długo nie znał całej diagnozy. Nie powiedzieliśmy mu, co się dzieje, praktycznie do założenia zbiórki w październiku ubiegłego roku. Wiedział, że coś jest nie tak, ale wyszliśmy z założenia – nie wiem, słusznie czy nie – że nie chcemy zabierać Maksowi dzieciństwa. Cały czas wierzyliśmy, że znajdzie się coś, co uchroni go przed konsekwencjami tej choroby.

Dziś Maks ma 9 lat i dostęp do internetu. Podczas zbiórki dowiedział się bardzo dużo o tej chorobie, pewnie więcej, niż byśmy chcieli. Ale cały czas mu mówimy: „Maks, udało się zebrać pieniądze, dostaniesz tę terapię, będzie dobrze".

Jak właściwie doszło do tego, że zaczęliście robić Maksowi badania?

Trafiliśmy do lekarza zupełnie przypadkowo. Maks zaczął mieć koślawe stopy. Lekarz stwierdził, że ma przykurcze, czego my jako rodzice nie widzieliśmy. W międzyczasie Maks dostał zapalenia płuc i trafiliśmy do szpitala. Tam wykonano szczegółowe badania. Wyszły bardzo podniesione próby wątrobowe i kinaza sercowa. To dało lekarzom sygnał, że trzeba rozszerzyć diagnostykę. Z tymi wynikami trafiliśmy do neurologa i wtedy po raz pierwszy pojawiło się podejrzenie dystrofii mięśniowej. Na badanie genetyczne czekaliśmy trzy miesiące.

Wyniku nigdy nie zapomnę. Dostaliśmy go tuż przed świętami Bożego Narodzenia. To były chyba najgorsze święta, jakie można sobie wyobrazić.

W dodatku dowiadujecie się, że jest terapia, która może wyhamować rozwój choroby, ale kosztuje 16 mln zł. Ruszyła zbiórka, ludzie się nią interesowali, byli aktywni, ale z czasem zainteresowanie malało i w końcu licznik się zatrzymał. Co się wtedy czuje?

Zwątpienie. Myślę, że mieliśmy szczęście w nieszczęściu, można tak powiedzieć, że mieszkamy w powiecie leskim, w takich „małych Bieszczadach", bo całe Bieszczady zaangażowały się w naszą zbiórkę. W ciągu czterech miesięcy zebraliśmy 3,5 miliona złotych. To ogromna kwota. Ale możliwości naszej lokalnej społeczności też zaczęły się wyczerpywać. Organizowano przeróżne imprezy, robiono wszystko, co tylko można było zrobić. A jednak licznik stanął.

Nie mieliśmy pomysłu, jak wybić się dalej, poza Podkarpacie. Rzeszów również bardzo dużo dla nas zrobił, ale potrzeba było czegoś więcej. Zastanawialiśmy się, gdzie możemy uderzyć. Pisaliśmy do różnych dużych fundacji, do telewizji, ale takich zbiórek jak nasza w całej Polsce jest naprawdę bardzo dużo. Przebić się gdzieś graniczyłoby z cudem.

I właśnie w czasie naszego największego zwątpienia pojawił się Piotrek. To był początek maja. Wtedy naprawdę trochę już się poddawaliśmy. Zastanawialiśmy się, co jeszcze możemy zrobić. A czas nas gonił, bo w dystrofii odgrywa on ogromną rolę. Terapię trzeba podać w określonym czasie, nie można czekać długo.

Maks ma 9 lat. Niektórzy chłopcy w jego wieku już siedzą na wózku, a Maks jeszcze chodzi. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę. To nie jest choroba, przy której można powiedzieć: „Spokojnie, uda się za rok, za pięć czy za dziesięć lat. Mamy czas".

Dlatego, kiedy nagle odezwała się mama Piotrka i powiedziała: „Piotrek wybrał Waszego Maksa, chcemy

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 6d5d1d980e

Wam pomóc", było to dla nas ogromnym szokiem i niedowierzaniem.

Wasza historia może być też iskierką nadziei dla innych rodziców, którzy zbierają pieniądze na leczenie swoich dzieci. Co powiedziałabyś rodzicom, którzy mają właśnie taki moment zwątpienia, kiedy licznik się zatrzymuje?

Powiedziałabym, żeby się nigdy nie poddawali i nie przestawali wierzyć. Wiem, co mówię. My też mieliśmy takie chwile. Nagle może się wydarzyć coś, może pojawić się ktoś, kto wszystko zmieni. I to jest najważniejsze.

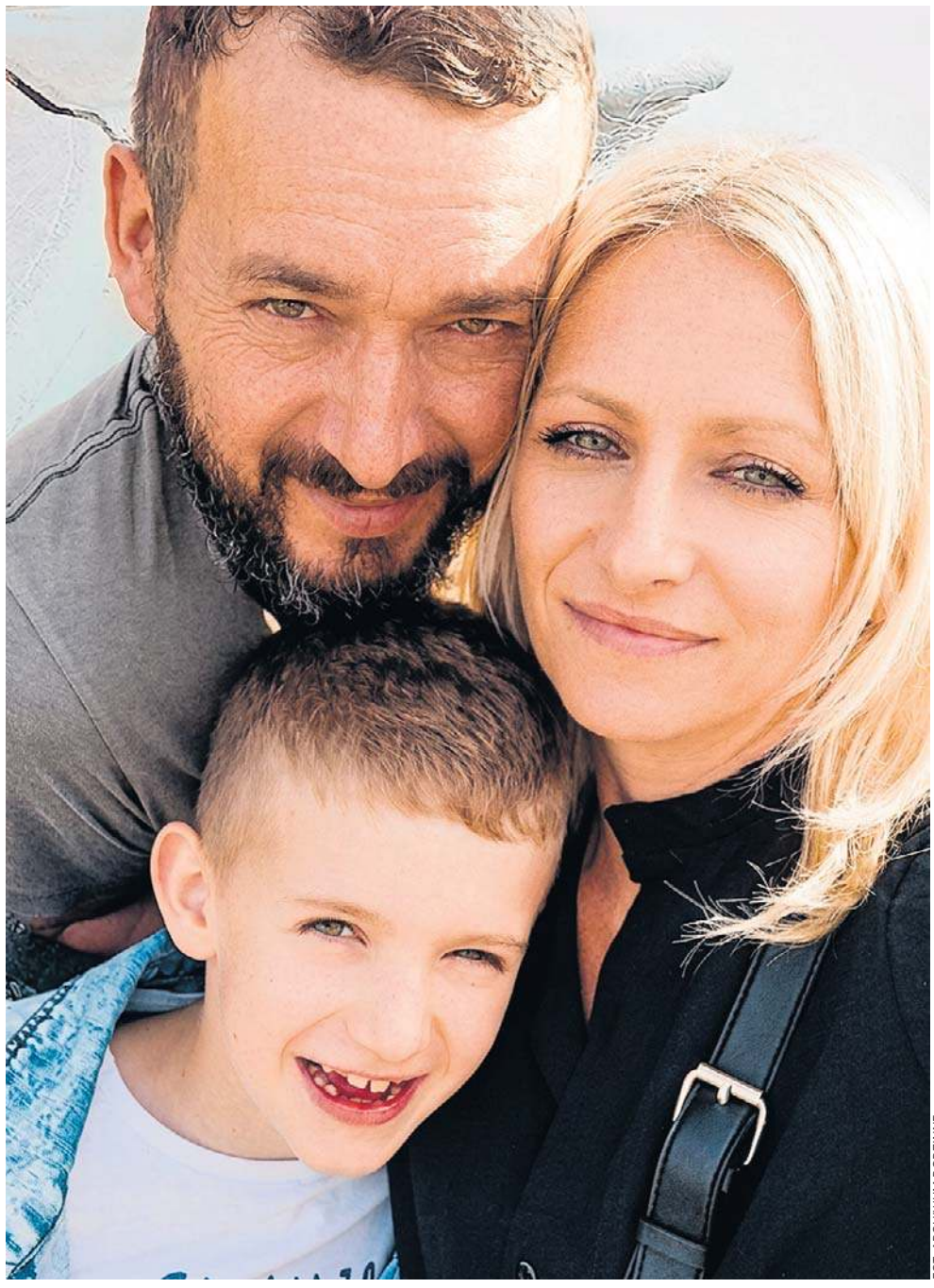
Trzeba pukać, gdzie się da, przecierać wszystkie możliwe ścieżki. Dla nas też było to trudne. Nie było nam łatwo prosić o pieniądze. To jest przecież normalne, że człowiek nie chce prosić innych o pomoc. Ale podczas tej zbiórki nie patrzyliśmy na to przez pryzmat tego, że prosimy o coś dla siebie. Prosiliśmy dla naszego dziecka. I właśnie to powiedziałabym rodzicom: nie wolno się poddawać, bo robi się to dla swojego dziecka, a nie dla siebie.

Taka zbiórka i wystawienie się na ocenę publiczną musi być bardzo trudne. Pokazujesz nie tylko swój ból, ale też cierpienie swojego dziecka. Jak ludzie reagowali?

Podczas zbiórki spotykaliśmy się właściwie z samymi dobrymi komentarzami i opiniami. Maks był z nami wszędzie i ludzie zawsze bardzo dobrze go przyjmowali. Byli dla niego mili.

Słowa krytyki pojawiły się właściwie dopiero po zakończeniu zbiórki, kiedy nagłośniona została choroba i terapia, która nie jest dopuszczona w Europie. Nagle zaczęły pojawiać się pytania: dlaczego tyle pieniędzy, dlaczego w Stanach, dlaczego terapia nie jest dopuszczona w Europie czy w Polsce.

Czytanie takich komentarzy jest dla mnie jako rodzica bardzo trudne. Przede wszystkim dlatego, że dotyczą mojego dziecka. Zawsze powtarzam: my nie mamy możliwości wyboru. Ja nie mogę wybierać pomiędzy tym czy tamtym lekiem. My mamy to i tyle. Na chwilę obecną nie mamy czasu, żeby czekać. Mogę zrobić tylko to, co jest dostępne teraz i w co święcie wierzę, jest dobre dla mojego dziecka. I to robię.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Nagle odezwała się mama Piotrka: Piotrek wybrał Waszego Maksa

Pojawiały się też komentarze, że po zakończeniu zbiórki zniknęliśmy. To nieprawda. Rzeczywiście trochę się wyciszyliśmy, ale po takiej zbiórce potrzebowaliśmy też odpocząć. Podczas niej byłam bardzo aktywna w mediach społecznościowych, ciągle pisałam, dziękowałam za każdą pomoc. Teraz musiałam trochę odpocząć i dać odpocząć Maksowi.

To nie znaczy, że się ukrywamy. Cały czas informujemy i będziemy informować o tym, co się dzieje. Wiemy, że ogrom ludzi przyczyniło się do tego, żeby Maks mógł przyjąć tę terapię.

Zakończenie zbiórki nie oznacza też końca walki. Teraz przed Wami kolejny etap – terapia w Stanach Zjednoczonych.

Tak. Jeden etap się zakończył, bo na szczęście udało nam się zebrać pieniądze. Ale teraz mamy kolejny: podanie terapii, tysiące badań, tysiące telefonów wykonanych do kliniki.

W Chicago Maks będzie miał podaną terapię. Jest ogrom stresu i ogrom niepewności. To nie jest tak, że po zakończeniu zbiórki wszystko się skończyło. Maks będzie musiał przechodzić badania jeszcze długo po podaniu terapii. Będzie musiał przyjąć nowy lek, który na chwilę obecną nie jest refundowany w Polsce. Liczymy na to, że się to zmieni. Będzie musiał być pod stałą opieką lekarzy jeszcze przez bardzo długi czas. Na chwilę obecną po prostu robimy to, co możemy.

Wróćmy jeszcze do samych zbiórek. Na początku jest ogromne zainteresowanie, działa efekt kuli śnieżnej, media społecznościowe i algorytmy. Potem uwaga ludzi spada. Co powiedziałabyś osobom, które myślą: „Co zmieni moje 5 czy 10 złotych, skoro do celu jest jeszcze tak daleko"?

Powiem tak: jeżeli każda osoba, która widzi zbiórkę, wpłaci 5 czy 10 złotych, a takich osób będzie dziesięć tysięcy, sto tysięcy czy milion, to robi się z tego ogromna kwota. My cieszyliśmy się z każdej wpłaty, bo to właśnie te niewielkie kwoty robiły dużą różnicę. Nie liczyliśmy na to, że nagle pojawi się ktoś, kto wpłaci kilka tysięcy. To mało realne. To właśnie wiele pojedynczych wpłat złożyło się na całość. Warto o tym pamiętać, kiedy widzimy apel o pomoc.

A jeżeli nie możesz wpłacić, to chociaż podaj zbiórkę dalej. Ktoś, kto ją zobaczy, może wpłacić, a potem przekazać ją kolejnym osobom. To działa lawinowo.

Wyjaśnijmy jeszcze jedną rzecz. Ludziom może się wydawać, że zebrane na terapię miliony po prostu trafiły na Wasze konto. Jak to wygląda w praktyce?

Nie, absolutnie tak się nie dzieje. Wszystkie pieniądze trafiły na zrzutkę. Od początku zbieraliśmy na leczenie Maksa pieniądze przez Siepomaga.

Po zamknięciu zbiórki i zaksięgowaniu pieniędzy Siepomaga opłaca wszystkie faktury i wysyła pieniądze do Chicago. Przez nasze ręce nie przechodzi nic.

Wszystko musi być udokumentowane, na wszystko musimy mieć fakturę. Pieniądze trafiają bezpośrednio do danego szpitala czy instytucji za konkretne leczenie albo badanie. Tak to działa.

Co teraz? Jesteście już na ostatniej prostej przed wylotem.

Mamy bilet na 4 października do Chicago. 6 października pierwsza wizyta w szpitalu. Będą badania i jeśli wszystko dobrze pójdzie, miejmy nadzieję, że około dwóch–trzech tygodni po przylocie do Chicago Maks będzie miał podaną terapię.

Zostajemy w Chicago od 3,5 do 4 miesięcy, bo takie są wymogi szpitala. Wszystko jest monitorowane. I właściwie bardzo się cieszę, że to tak długo trwa, bo będziemy mogli wrócić do Polski z poczuciem, że wszystko jest dobrze. Później oczywiście będziemy musieli dalej konsultować stan zdrowia Maksa z lekarzami w Polsce i robić badania.

Ale najważniejszy krok, spełnienie naszego marzenia, jest już blisko. To jeszcze nie minął rok od momentu, kiedy założyliśmy zbiórkę. Wtedy wydawało nam się to niemożliwe. A dziś stało się realne. Ogromnie się z tego cieszymy, chociaż cały czas jest lęk i niepewność. To nasze dziecko, chodzi o jego zdrowie i życie. Każdy rodzic chyba rozumie, o czym mówię.

Aniu, dziękuję Ci za tę rozmowę. Trzymamy za Was kciuki i życzymy, żeby kolejny rozdział tej historii przyniósł już tylko dobre wiadomości.

Dziękuję bardzo. ©℗

REKLAMA 0311461412



eprasa.pl 6d5d1d980e

ŻYWNOŚĆ

Prezes Fundacji Pro-Test: Chciałbym, żeby polska żywność była najlepsza. Ale milczeć nie mogę!

Piotr Koluch: Wyleczyłem się z bazarów, przestałem tam robić zakupy. (...) Zbadaliśmy czereśnie (z Hiszpanii i Grecji) z dużych sklepów i te z bazaru – polskie. Najwięcej pestycydów było w tych krajowych! Aż siedem rodzajów

Lucyna Talaśka-Klich

Idzie pan na zakupy, po żywność. Czy wiedza o wynikach testów, przeprowadzonych przez Fundację Pro-Test, pomaga panu w wyborze produktów, czy przeszkadza?

Mam bardzo duży problem, bo dużo wiem. Poza tym kupowanie żywności w Polsce to jest taka rosyjska ruletka, nigdy nie wiesz, na co trafisz. Błądzę po omacku.

Sądzi pan, że z polską żywnością jest aż tak źle? Mnie takie informacje bolą, bo jestem przekonana, że jest ona w większości dobra, a nawet bardzo dobra. To jak jest?

To pytanie filozoficzne. Jeżeli w dobrym produkcie jest coś złego, to ten produkt jest dobry czy zły? Na przykład jabłko – bardzo dobry produkt, który zawiera dużo pestycydów. To jaki on jest? Czy podałaby go pani dziecku, wiedząc o tym?

Przecież są normy określające dopuszczalne ilości pestycydów w owocach albo w warzywach.

Zacznijmy od tego, że nie ma zdrowych pestycydów. Nawet jeżeli normy są spełnione dla danego pestycydu, ale załóżmy, że jest ich 27 albo nawet 100, to to jest dobrze czy źle? Do tej pory nauka nie wie do końca, jak na nasze zdrowie wpływa mieszanka pestycydów. A przecież często mamy do czynienia z takim koktajlem tych środków! Jabłko, nasz symbol narodowy, to , moim zdaniem, jakaś pomyłka. Aronia powinna nim być, bo to jest najzdrowszy owoc, jaki posiadamy. Jest niemalże wolna od środków ochrony roślin.

No to podpadł pan polskim sadownikom!

Ostatnim testem musów owocowych też im podpadłem. A wynik był przerażający – 4, 6, a nawet 7 różnych pozostałości pestycydów w jednym musie owocowym! Te musy najczęściej jedzą dzieci, które jak gąbka chłoną pestycydy.

Z każdym testem narażacie się producentom. Tym bardziej że nie ukrywacie, o jaki produkt chodzi. Jak reagują ci, których napiętnowaliście?



FOT. Z ARCHIWUM PIOTRA KOLUCHA

Piotr Koluch: Jabłko, które jest naszym symbolem narodowym, to, moim zdaniem, jakaś pomyłka

My nikogo nie piętnujemy. Po prostu przedstawiamy fakty, czyli wyniki badań laboratoryjnych. Na początku, gdy zaczęliśmy tak ostro testować żywność, to wszyscy byli zbulwersowani. Dziś producenci, których towary źle wypadły, odzywają się do nas po testach. Niektórzy straszą sądem, inni przepraszają. A tak na marginesie, to nie boimy się spraw sądowych. Zwykle zadaję im pytania, jak kontrolują żywność w procesie produkcji. No i okazuje się, że dotąd było z tym kiepsko. Bardzo mało produktów oddawali do laboratorium, ponieważ bazowali na badaniach firm, które do nich dostarczają półprodukty. Po naszych testach wprowadzają zmiany, częściej sami kontrolują, generalnie poprawiają jakość.

A może to jest trochę mydlenie oczu? Rozmawiałam z każdą z tych stron i np. rolnicy są oburzeni wynikami waszych testów. Nie podważają ich, ale są przekonani, że do nieprawidłowości doszło po stronie przetwórców, którzy chcą wyprodukować jak najtaniej.

Mamy rozdrobnione rolnictwo. Gospodarze, którzy mają duże areały, mogą badać surowiec, ale ci mali rzadziej. Wyleczyłem się z bazarów, przestałem tam robić zakupy. Wcześniej sądziłem, że tam sprzedawana jest wyłącznie zdrowa żywność, wprost od rolników, że jest lepsza niż ta z hipermarketów albo innych dużych sklepów. No i okazało się, że na bazary trafiają przypadkowe produkty. Na przykład zbadaliśmy czereśnie (z Hiszpanii i Grecji) z dużych sklepów i te z bazaru – polskie. Najwięcej pestycydów było w tych krajowych! Aż siedem rodzajów, w tym te już dawno niedozwolone w Unii Europejskiej! A sprzedawczyni, której powiedziałem, że kupuję owoce dla dziecka, zapewniała mnie, że „są czyste, z własnych upraw".

To sprawa sumienia każdego sprzedającego. Jednak jeśli np. do przebadanych warzyw lub owoców, z certyfikatem, dosypie się byle jakiego, tańszego towaru, np. z importu, to jakość całości może być kiepska. Prawda?

Może tak być, ale nie musi. Konsument płacąc za towar ma nadzieję, że dostanie produkt dobrej jakości. Dajemy producentom zarabiać. Dzięki nam, konsumentom, oni rosną w siłę, bogacą się. Jeżeli są wobec nas nieuczciwi, to trzeba zrobić z tym porządek. Nasza fundacja, jak i inne organizacje konsumenckie testujące produkty na całym świecie, pełnią rolę strażniczą.

Od tego są różne inspekcje. Kilka osób z długoletnim stażem w tych inspekcjach popytałam o opinie na temat waszych testów. Wszyscy mówili, że w Polsce wykonuje się za mało badań żywności (na różnych etapach), inspektorów jest za mało, są oni przeciążeni papierologią, poza tym inspekcje nie informują się wzajemnie o swoich kontrolach, niektóre się nakładają.

Dokładnie tak jest. Przede wszystkim kontroli jest za mało. Próbowaliśmy z inspekcjami nawiązać współpracę, tak jak to działa w innych krajach. Kierowaliśmy do nich pisma, ale bez odpowiedzi. Wysyłamy im wyniki naszych testów. Wiemy, że je przeglądają, sprawdzają i w razie potrzeby przeprowadzają kontrolę u producenta, ale takiej ścisłej współpracy między nami nie ma. Takie szklane niebo – widzisz, a dotknąć nie możesz.

Moi rozmówcy zwracali też uwagę, że liczba testowanych przez was produktów jest niewielka, więc nie można w ten sposób oceniać polskiej żywności.

My przeprowadzamy testy konsumenckie, od kontroli są inspekcje. Testy wykonujemy z pieniędzy fundacji, nie otrzymujemy rządowych dotacji na testy żywności, a badania są bardzo kosztowne. Idziemy do sklepu i kupujemy produkt do testu w ten sam sposób, w jaki kupuje go konsument. I oczekujemy tego samego, co konsument – że niezależnie od tego, którą partię towaru wybierze, będzie ona trzymała jakość.

Z kolei przetwórcy sugerowali, że jesteście „narzędziem w rękach niezdrowej konkurencji". W jaki sposób wybieracie produkty do testowania?

Najpierw w fundacji ustalamy, co będziemy testować. Niekiedy także nasi czytelnicy podsuwają nam tematy do testów, które czasami uwzględniamy po analizie. Potem idziemy do sklepu i kupujemy ileś tam produktów (na wszystko mamy faktury) i zawozimy je do laboratorium. Gdy w naszym teście źle wypadła jedna z firm produkujących przyprawy, rozpętała się burza, że chcemy wykosić świetną polską firmę, zrobić jej krzywdę. Na Boga, toż to bzdura! Lepiej ukryć wyniki testu? Ciszej nad tą trumną? Przed laty afera z solą wypadową – gdy podaliśmy, które firmy wykorzystały ją do produkcji żywności – pokazała że nawet „hacapy" się nie sprawdziły.

Znam porządnego przedsiębiorcę, który ucierpiał z tego powodu. Został oszukany przez dostawcę, nie wiedział, że kupił sól wypadową. Gdy nazwa jego firmy ukazała się na waszej liście, bardzo to odchorował. Zdajecie sobie sprawę, że niektórych producentów te testy mogą skrzywdzić?

Skrzywdzeni to jesteśmy my – konsumenci. Jeśli firmy będą produkować żywność dobrej jakości, będą pilnować jakości, to nie będzie problemu. Polscy przedsiębiorcy muszą się nauczyć, że warto testować, oddawać próbki do laboratorium. Muszą mieć pełną świadomość, co sprzedają. Po naszych testach nawet sieci handlowe zaostrzyły kryteria, stawiają na przebadane towary. Nie jestem oszołomem – wiem, że żywności na skalę przemysłową nie da się wyprodukować bez użycia pestycydów, ale są np. normy i okresy karencji, których trzeba przestrzegać. Wystarczy chcieć. Dowodem na to, że się da, są produkty, w których pozostałości pestycydów nie wykrywamy, albo w których jest tylko jeden pestycyd.

Jednak porządni rolnicy i przetwórcy – a jestem przekonana, że stanowią zdecydowaną większość – cierpią na złych opiniach.

Proszę mi wierzyć, że zawsze mam nadzieję, że wyniki testów będą jak najlepsze. I też cierpię, gdy np. znajdujemy w owocach substancje, których być tam nie powinno. Chciałbym, żeby polska żywność była najlepsza. Jednak milczeć nie mogę!

Zdradzi pan, co zamierzacie przetestować?

Owoce i warzywa w szkołach. Chcemy je przetestować we współpracy z Ministerstwem Edukacji Narodowej oraz z Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Mam nadzieję, że się uda, bo przecież chodzi o dzieci, ich zdrowie. Bardzo chciałbym oznajmić po testach, że wszystko jest w porządku. No i naprawdę trzymam kciuki za wszystkich producentów polskiej żywności! Chciałbym, żeby hasło „dobre, bo polskie" było nie tylko sloganem marketingowym, ale rzeczywistością. ©℗

• Fundacja Pro-Test

Jest to niezależna organizacja konsumencka.

Należy do International Consumer Research & Testing z siedzibą w Londynie – międzynarodowej organizacji testującej produkty, zrzeszającej instytucje konsumenckie z wielu państw. Od 2001 roku w niezależnych laboratoriach testuje produkty (od żywności po RTV i AGD, kosmetyki, a nawet foteliki samochodowe, kaski i opony) dla konsumentów w Polsce.

Utrzymuje się ze wsparcia swoich czytelników, którzy mogą wykupić dostęp do wyników wszystkich testów, mogą też kupić książki o odżywianiu. Jednak dostęp do wyników testów żywności jest bezpłatny (po zalogowaniu) dla wszystkich. Fundacja nie zamieszcza reklam.

eprasa.pl 6d5d1d980e

MATERIAŁ INFORMACYJNY PKO BANKU POLSKIEGO
0011589329

Nowa siedziba Oddziału PKO Banku Polskiego w Otwocku



Oddział PKO Banku Polskiego od kilku tygodni jest dostępny dla klientów w nowej lokalizacji przy ul. Wawerskiej 10. Placówka została przeniesiona z ul. Powstańców Warszawy 15. Większa i funkcjonalnie zorganizowana przestrzeń zapewnia klientom lepszy komfort obsługi i nowe udogodnienia.

W nowej siedzibie są cztery stanowiska obsługi. Klienci mogą korzystać też z pokojów spotkań, które zapewniają większą wygodę i prywatność podczas rozmów z doradcami. Do ich dyspozycji jest też stanowisko samoobsługowe, przy którym można samodzielnie wykonać m.in. przelewy i inne podstawowe operacje bankowe. W placówce powstały dwa interaktywne kąciki dla najmłodszych, dzięki którym rodzice mogą spokojnie załatwić swoje bankowe sprawy. Oddział wyposażony jest także w nowe urządzenia samoobsługowe: bankomaty z funkcją wpłaty. Nowa siedziba ułatwia też korzystanie z oddziału osobom z niepełnosprawnościami. W placówce jest winda dla osób z ograniczoną mobilnością. Obok oddziału jest też parking.

Edukacja klientów w zakresie bezpieczeństwa

Bezpieczeństwo klientów jest ważną częścią codziennej pracy doradców. Podczas rozmów z klientami regularnie przypominają, jak bezpiecznie korzystać z bankowości zdalnej i na co zwracać uwagę, aby nie paść ofiarą oszustwa. Szczególnie uczulają na sytuacje, w których ktoś kontaktuje się telefonicznie i podaje za pracownika banku. Doradcy przypominają, że w aplikacji IKO można sprawdzić, czy dzwoni do nas prawdziwy pracownik banku. Warto też zachować ostrożność, gdy rozmówca prosi o przekazanie pieniędzy, wykonanie przelewu lub podanie poufnych informacji. Pracownik banku nigdy nie poprosi o login i hasło do bankowości, kod BLIK czy pełne dane karty. Nie będzie też namawiał do instalowania nieznanej aplikacji ani prosił o przelew na wskazane konto. Przy zwykłej weryfikacji tożsamości nie będzie również wymagał podania pełnych danych osobowych. Takie przypomnienia pomagają klientom lepiej rozpoznawać próby oszustwa i reagować, gdy telefon lub wiadomość od rzekomego pracownika banku wzbudzi ich wątpliwości.

Dni Otwarte – dobry moment na rozmowę

Do **30 września** w placówkach PKO Banku Polskiego odbywają się **Dni Otwarte.** To okazja, żeby porozmawiać z doradcą o swoich potrzebach i planach oraz poznać dostępne możliwości, m.in. dotyczące pożyczki gotówkowej, karty kredytowej i ubezpieczeń, w tym aktualnych promocji i zniżek.

Masz plan, pytanie lub potrzebę? Zacznij od rozmowy. Zapraszamy do naszych placówek na Dni Otwarte.

Trzy pytania do Agaty Karwowskiej, dyrektora oddziału

1. Jakie zmiany w codziennej obsłudze klientów pozwoliła wprowadzić nowa, zmodernizowana przestrzeń oddziału?

Nowa przestrzeń została zaprojektowana przede wszystkim z myślą o komforcie i potrzebach naszych klientów. Nowoczesny układ oddziału zapewnia większą funkcjonalność, lepszą organizację obsługi oraz więcej przestrzeni do swobodnych rozmów z doradcami. Dzięki temu klienci mogą załatwiać swoje sprawy w przyjaznym i komfortowym otoczeniu, z zachowaniem większej dyskrecji i poczucia bezpieczeństwa.

2. Na czym koncentrujecie się w pracy w nowym oddziale – czy są priorytety, które szczególnie trzeba zaopiekować?

Naszym najważniejszym priorytetem pozostaje klient i jego potrzeby. Chcemy, aby każda osoba odwiedzająca oddział czuła, że może liczyć na profesjonalne doradztwo, indywidualne podejście oraz kompleksową obsługę. Nowa lokalizacja daje nam jeszcze lepsze warunki do budowania długofalowych relacji oraz wspierania klientów w realizacji ich planów – zarówno tych codziennych, jak i związanych z większymi życiowymi decyzjami.

3. Czy modernizacja oddziału wpłynęła na sposób kontaktu z klientami – np. szybciej, wygodniej, bardziej indywidualnie?

Zdecydowanie tak. Modernizacja oddziału pozwoliła stworzyć przestrzeń bardziej przyjazną i funkcjonalną. Klienci mają zapewniony większy komfort obsługi oraz możliwość spokojnych rozmów z doradcami. Dzięki nowoczesnym rozwiązaniom możemy jeszcze lepiej dopasować sposób obsługi do indywidualnych potrzeb klientów, zapewniając im wysoką jakość usług i pozytywne doświadczenia podczas każdej wizyty w oddziale.

eprasa.pl 6d5d1d980e

ROZMOWA

Dziewięć odcinków w dziewięć miesięcy, czyli dlaczego „Lalka” Netflixa tak bardzo różni się od „Lalki” z roku 1977

Rozmowa z Wojciechem Nowickim, byłym dyrektorem Teatru im. Jaracza i Teatru Wielkiego w Łodzi, a wcześniej kierownikiem produkcji w polskich filmach i serialach, między innymi „Lalki” z 1977 roku, „Rodziny Połanieckich” i „Kariery Nikodema Dyzmy”

Anna Gronczewska

Oglądał pan „Lalkę” Netflixa?

Oglądałem zwiastun serialu. Dziś dostałem mem zawierający sceny z udziałem Izabeli Łęckiej z nowego i naszego serialu.

Generalnie wielu ludziom ta nowa „Lalka” się nie podoba...

Cóż ma się podobać albo nie podobać. Widzę, jak ludziom pozmieniały się gusty. Skapcaniało to wszystko. Jakie czasy, taki serial.

Pan pracował jako drugi kierownik produkcji przy tej klasycznej, serialowej „Lalce” w reżyserii Ryszarda Bera z 1977 roku.

Tak, byłem wtedy młodym chłopakiem. Pracowałem przy „Lalce”, „Rodzinie Połanieckich” i „Karierze Nikodema Dyzmy”.

Jak się wtedy robiło seriale?

Robiło się profesjonalnie. Przez ten czas wszystko się zmieniło, również technika. Aby powstał dobry film, serial, potrzebny jest dobry tekst, realizatorzy i kasa, dzięki której produkcję stać na piękne obiekty, kostiumy, dobrych aktorów. I potrzebne jest jeszcze coś, czego dzisiaj nie ma.

Czyli?

Nadzór artystyczny nad filmem. Przez całe lata mieliśmy kinematografię reżyserską. Teraz mówi się, że jest ona producencka. Proszę zauważyć, jak do dziś włącznie spostponowano scenarzystów. Mówimy: O, to Prus napisał! Ale przecież ktoś musiał adaptować powieść. Jak scenarzysta napisał tekst, to powiedzieliśmy o nim słowo? Tylko odmieniali na tysiące przypadków nazwisko reżysera i operatora. Tak to poszło. A kto tak naprawdę wymyślił historię? Przecież film to jest opowiadanie historii. W teatrze jest zresztą to samo. Niestety, dziś w większości mamy słabych scenarzystów. Niedawno oglądałem polski film „Filip” i bardzo mi się podobał. Jest zrobiony profesjonalnie: profesjonalnie napisany, profesjonalnie wyreżyserowany. A nie byle szybko i do kasy. Jak jest dobry scenariusz, to i film będzie dobry. Mówiąc o tekście, nie myślę o Prusie, który co napisał, to napisał. Scenopisy, czy też wcześniej scenariusze, pisali profesjonaliści. Scenariusz do „Lalki” z 1977 roku pisał Aleksander Ścibor-Rylski, do „Rodziny Połanieckich” Andrzej Mularczyk, genialny scenarzysta. Teraz przychodzi młody reżyser, coś wymyśli i bez żadnego nadzoru dostaje kasę. A my mu klaszczemy. Nie ma żadnego nadzoru nad tekstem, filmem. Ważna była jeszcze jedna rzecz, czyli muzyka. Muzykę do „Lalki” komponował Andrzej Kurylewicz, do „Rodziny Połanieckich” – Wojciech Kilar, a do „Kariery Nikodema Dyzmy” – Piotr Marczewski. I ta muzyka została do dziś.

Jak kiedyś wyglądał ten nadzór artystyczny?

Seriale powstawały w Zespołach Filmowych. Na przykład „Lalka” powstała w zespole „Pryzmat”. Wszystko było nadzorowane. Raz na dwa, trzy tygodnie przyjeżdżało szefostwo zespołu i oglądało materiały. Sprawdzano, czy wszystko to idzie w dobrą stronę. Nie do pomyślenia było, żeby reżyser robił, co chce. Na przykład w filmie o Kościuszce wymyślono sobie, że jego adiutantem będzie czarnoskóry. W normalnych warunkach by to nie przeszło. Taki twórca zostałby wyrzucony z planu. Były też tzw. kolaudacje. Siedziało 10 czy 15 starych repów, reżyserów, co zęby zjedli na niejednym i się przyczepiali do wszystkiego: to do zmiany, to do zmiany, to do wyprostowania, to bez sensu, to bez logiki. Wykonać i meldować. A jak trzeba było coś dokręcić, to taką scenę dokręcano. Teraz najważniejsze jest tempo. Dziś odcinek serialu robi się w tydzień. A myśmy dziewięć odcinków serialu kręcili dziewięć miesięcy. Film fabularny robi się w trzy miesiące. U nas każdy odcinek był filmem fabularnym. Tylko wtedy nikt nie patrzył na zegarek, wszystkim zależało, by wyszło jak najlepiej. Dzisiaj filmy i seriale kręci się na taśmie magnetycznej, w związku z tym od razu widać, co nakręcono. Z punktu widzenia technicznego dziś jest prościej. My kręciliśmy na taśmie światłoczułej. Trzeba było ją wywołać, pojechać do montażowni. Jak pracowaliśmy w terenie, musieliśmy wynająć kino, obejrzeć materiał i zadecydować, czy jest do przyjęcia. Dlatego to trochę trwało.

„Lalka” była kręcona także w Łodzi?

Generalnie zdjęcia mieliśmy w Warszawie, ale były kręcone także w Łodzi, Nieborowie, w Zaborowie, w Janowcu. Najwięcej kręciliśmy w Warszawie, bo tam rozgrywała się akcja serialu. Część akcji „Lalki”, nieduża, bo nieduża, działa się w Paryżu. Czy ktoś pojechał do Paryżu? Mowy nie było.

W takim razie jakie polskie miasto zagrało Paryż?

Właśnie Łódź. Budynek znajdujący się na ul. Piotrkowskiej, przy Grand Hotelu, zagrał Bank Zbożowy. A w Warszawie robiliśmy zdjęcia w miejscach, których już nie ma. Jak Wyścigi Konne. Te na Służewcu powstały w 1939 roku, a więc wiele lat po czasach, gdy rozgrywała się akcja „Lalki”. Zdjęcia robiliśmy na Polach Mokotowskich oraz w Łazienkach.

Trzeba było wymyślić specjalne miejsce, wyznaczyć tory, zbudować trybunę, wynająć powozy. Dbałość o szczegóły była szalenie ważna. A dzisiaj ten szczegół jest taki, że nawet mi się gadać nie chce. Nagminnie aktor wchodzi do budynku w nocy, a przez okno widać biały dzień. Nikt się tym nie przejmuje. Albo jest odwrotnie. Wychodzą w biały dzień, a tu czarna noc za oknem. Po prostu nikt o to nie dba. Ale dobrze, póki się to ludziom jeszcze podoba, to niech tak będzie.

Ze zdjęciami do „Lalki” wiązały się jakieś ciekawe historie?

Robiliśmy zdjęcia w Warszawie przy Hotelu Saskim. To jest dawny Plac Dzierżyńskiego, a dziś Piłsudskiego. Pod hotel miały podjechać sanie. Te sanie trzeba było wcześniej odpowiednio udekorować. Niestety, okazało się, że mamy słabą zimę, brakowało śniegu. Nie było takiej techniki jak dzisiaj, że posypiemy sztucznym śniegiem ze specjalnej maszynki. A przecież sanie nie mogą jechać po asfalcie. Położyliśmy na nim słomiane maty, sanie mogły po nich przejechać te 50-80 metrów. Brakowało jednak śniegu. Postanowiliśmy użyć gaśnic strażackich, tylko ta piana strażacka miała to do siebie, że po 15 minutach zaczynała kapać. Strasznie to wyglądało.

Jak rozwiązaliście problem?

Okazało się, że w Warszawie były dwie jednostki strażackie, które miały specjalną pianę do gaszenia ewentualnego pożaru w budynku Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Była to bardzo przyzwoita piana. Utrzymywała się kilka godzin. Jak się patrzy na te sceny, to wyglądają lepiej niż przy prawdziwej zimie.

W „Lalce” zagrało wielu znakomitych aktorów, między innymi urodzony w Łodzi Jerzy Kamas, który grał Wokulskiego...

Aktorzy w filmie, serialu to podstawowa sprawa. Ale tych aktorów trzeba w coś ubrać. Kostiumografem przy tym filmie była Irena Biegańska, prawdziwa profesjonalistka. Za scenografię odpowiadał Andrzej Halicki. Byli to fachowcy. Nie przepuszczali głupstw, na przykład takich, by koń był przykryty derką z XX wieku. Aktorzy byli bardzo dobrze ubrani.

Proszę pamiętać, że wtedy w Warszawie istniała specjalna firma, która nazywała się Copia, szyła kostiumy, robiła buty na potrzeby teatru i firmy. Trzeba pamiętać, że reżyser i jego ekipa odbywali wielogodzinne lub nawet całodniowe rozmowy z aktorami. Oni musieli zrozumieć, o co chodzi w tym całym interesie i jakie jest przesłanie filmu wymyślone przez reżysera czy przez scenarzystę. Tak było również przy realizacji „Lalki”. Serial skończył się znakiem zapytania. Jerzy Kamas jedzie do Zasławia i teoretycznie wysadza się w tamtejszym zamku. Nie wiemy, czy przeżył. Zamek w Zasławiu zagrały ruiny zamku w Janowcu, koło Kazimierza Dolnego. Serial kończy się niedopowiedzeniem. Zresztą z tym wiąże się pewna historia.

Jaka?

Trzeba było dokręcić dwie sceny, a zrobiła się jesień. Przy ognisku siedziały kobiety, między innymi Łęcka, i śpiewały piosenkę. Miało to być latem, a tu

eprasa.pl 6d5d1d980e



FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Wojciech Nowicki: – Film to jest opowiadanie historii. W teatrze jest zresztą to samo. Niestety, dziś w większości mamy słabych scenarzystów

z ust leci im para. W związku z tym trzeba było umieścić w pobliżu wiatrak. Ale żeby umieścić wiatrak w plenerze, to trzeba było doprowadzić prąd, a żeby doprowadzić prąd, trzeba było dojechać z agregatem, który należało wygłuszyć. Wiatrak przegonił tę parę. Z Janowcem związana jest jeszcze jedna historia W zamku mieliśmy zrobić wybuch, ale zamek znajdował się pod opieką konserwatora zabytków.
W związku z tym robiliśmy ten wybuch na kilka kamer. Za wybuch odpowiadali pirotechnicy z Łodzi. Mieliśmy ze sobą walkie-talkie, bo przecież komórek nie było. Kamery poszły w ruch, daliśmy znak i za 5 sekund puk, poszło. Kamery przestawiliśmy w inne miejsce i powtórka. Zakończyliśmy ujęcie. Byliśmy po drugiej stronie Wisły i nagle słyszymy przez walkie-talkie, że pirotechnicy nie zabiorą do Łodzi tego materiału wybuchowego, który im został, i walną jeszcze raz. Przeraziliśmy się, baliśmy się, że za chwilę przyjedzie konserwator zabytków i wszystkich zabije. Nie pozwoliłem na kolejne odpalenie materiałów wybuchowych.
Za chwilę jednak słyszę kolejny huk. Na szczęście nie uszkodzili zamku.

Jak się pracowało z wielkimi gwiazdami polskiego kina i teatru?

Pracowałem z wieloma gwiazdami i nie mogę na nikogo powiedzieć złego słowa. W prywatnym życiu różnie bywało. Do kobiet przyjeżdżali różni absztyfikanci, ale nie odbijało się to na pracy. Gwiazdy były bardzo profesjonalne. Serial kręciliśmy w końcówce lat siedemdziesiątych. One zarabiały takie pieniądze, że inni mogli tylko o nich śnić. Bardzo im zależało, by grać w serialu. Średnia pensja w Polsce wynosiła 1500 –1800 zł miesięcznie. A aktorzy za dzień zdjęciowy dostawali od 2000 do 5000 zł. Serial ustawiał ich na pół życia. Oczywiście bywało, że łatwo przyszło, łatwo poszło... Różnie w życiu bywa. Większość była ustawiona, kupowali przyzwoite domy, samochody. Nie każdy brał udział we wszystkich dniach zdjęciowych, ale serial to było dla nich eldorado. Opowiadał mi kiedyś Stefan Friedmann, który w „Lalce" grał subiekta, że najbardziej opłacalną jego rolą była rola giermka tytułowego Kazimierza Wielkiego w filmie Ewy i Czesława Petelskich. Nie powiedział ani słowa, a miał 70 dni zdjęciowych.

Których aktorów wspomina pan najmilej?

Jest kilku. Jeden z nich to Włodzimierz Boruński, który grał doktora Szumana. To był bardzo przyzwoity, szczery człowiek. Rzadko się takich spotyka.

To kuzyn Juliana Tuwima?

Tak, nawet był bardzo do niego podobny. Kiedyś mieliśmy małą scysję, nawet już nie pamiętam, o co chodziło. Pewnie o jakiś drobiazg. I on wybuchnął! Minęły dwa miesiące. Przyszedł do mnie i przeprosił, że źle się zachował! Trzeba mieć klasę, by tak zrobić. Całe lata znałem się z Wojciechem Pokorą. Pracowaliśmy też przy „Karierze Nikodema Dyzmy". Bardzo mile wspominam Czesława Wołłejkę, który w „Lalce" grał barona Krzeszowskiego. Zaprzyjaźniłem się z Janem Englertem, który potem tak jak ja też był dyrektorem teatru. Przez lata świadczyliśmy sobie różne życzliwości. Ciekawa historia wiąże się z Ryszardem Berem, reżyserem serialu. Miał prawo jazdy, ale nie miał auta. W końcu kupił sobie „malucha". Wziął kilka lekcji i zaczął jeździć. Mieszkał w Warszawie i co sobotę tam jeździł. Miał jednak problem, bo nie potrafił skręcać w lewo. Cała ekipa wyrysowywała mu tak trasę, by skręcał w prawo...

Wiele zdjęć powstało też pewnie w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych?

Wybudowano w niej dekoracje. Tam między innymi znajdował się sklep Rzeckiego z ulicą. W hali nr 4 powstała wielka dekoracja, którą budowano dwa miesiące. Tam też przez dwa miesiące robiliśmy zdjęcia. Proszę zwrócić uwagę, jaka jest różnica w dźwięku. Przecież dzisiaj ludzie wychodzą z kina i pytają: Ty, a co on powiedział? Wtedy na takiej hali wygłuszało się wszystko do maksimum. Mało tego, aktorzy potrafili na buty założyć takie kapcie, jakie zakładano w muzeum, żeby nie stukać. Oczywiście operator musiał wziąć to pod uwagę. Robiono to, by potem nie podkładać głosu, by wszystko szło w oryginale. Nie było stuku, puku. Już nie wspomnę, że dziś w większości filmów w środek kadru wjeżdża mikrofon. Ja już się nawet nie denerwuję, gdy to widzę. Kiedyś było to nie do pomyślenia. Na sukces filmu składa się mnóstwo rzeczy. Teraz powiem, jak wykładowca Szkoły Filmowej. Teatr i film to jest jedno wielkie dzieło zbiorowe. Każdy podpisuje osobną umowę, ale to jest dzieło zbiorowe. Suma tych wszystkich dzieł indywidualnych, wiedzy, intelektów powoduje, że jest sukces albo go nie ma.

eprasa.pl 6d5d1d980e

SZTUKA LUDOWA



FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Cepelia działa do dziś. Sprzedaje wyroby ze skóry, tkane, a także pisanki i kolorowe laleczki

Kierpce, kogutki, lalki, kubki, a na ścianie talerze z Włocławka

9 października w Muzeum Narodowym w Krakowie, na wystawie „Obywatelka Cepelia", triumfalnie wróci niepowtarzalny klimat sztuki ludowej PRL

Mariusz Grabowski

Wyroby Cepelii, czyli Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, przez dekady kształtowały codzienną estetykę Polaków. Wpływały na wygląd ich mieszkań, strojów, a zwłaszcza na zbiorowe wyobrażenia o ludowości i jej tradycji.

Minister podpisuje

Jak wszystko w Polsce socjalistycznej, także sztuka ludowa miała swoją stosowną nadbudowę ideologiczną. W tym wypadku Cepelię, zrzeszającą spółdzielnie rękodzieła ludowego i artystycznego. Idea koncesjonowanej ludowości pojawiła się pod koniec lat 40. W czerwcu 1949 r. w Katowicach odbywał się IV Zjazd Polskich Artystów Plastyków. I to wówczas realizm socjalistyczny ogłoszono obowiązującą metodą artystyczną dla mas. Oznaczało to w praktyce, że artyści nawiążą w swoich pracach do historyzmu, a jednocześnie będą czerpać z tradycji ludowej.

Umocowanie prawne stanowiło zarządzenie Przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego z dnia 17 października 1949 r. W Monitorze Polskim z 29 listopada 1949 r. w dziale „Sprawy Gospodarki Narodowej" czytamy: „Tworzy się centralę spółdzielczo-państwową pod nazwą: »Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, Centrala Spółdzielczo-Państwowa«, w dalszym ciągu niniejszego zarządzenia zwana »Centralą«. § 2. Siedzibą Centrali jest m. Warszawa. § 3. Przedmiotem działalności Centrali jest: 1) prowadzenie i organizowanie produkcji przemysłu ludowego i artystycznego w zakładach własnych oraz ośrodkach produkcyjnych spółdzielni, 2) prowadzenie i organizowanie zbytu wytworów przemysłu ludowego i artystycznego". Podpis złożył przewodniczący PKPG tow. Eugeniusz Szyr.

Cepeliada jako kanon

Na krakowskiej wystawie papierów urzędowych z zamierzchłej epoki nie znajdziemy. Ale też inny jest jej zamiar – „Obywatelka Cepelia" to przekrojowa prezentacja jednej z najbardziej wpływowych i – co ciekawe – jednocześnie najmniej rozumianych instytucji wytwarzającej i dystrybuującej przedmioty artystyczne i dzieła sztuki.

Zbiorowa pamięć Polaków kojarzy dziś Cepelię z kwintesencją „ludowości". Upiększonej, uładzonej, kolorowej, nierzadko nieco sentymentalnej. A przecież taki wzorzec w niczym nie odpowiadał ówczesnej rzeczywistości. Polakom, wywodzącym się w przytłaczającej większości ze wsi, sielankowa cepeliada została odgórnie narzucona. „Cepelia była pomysłem i przedsiębiorstwem totalnym. Roztaczała opiekę nad twórcami ludowymi i artystami, ale zarazem wpływała na to, co robili. Prowadziła badania naukowe, ale przede wszystkim produkowała i sprzedawała" – twierdzi prof. Piotr Kurdyba, jeden z kuratorów wystawy.

Konsekwentnie musimy przyznać, że owa „ludowość" została na tyle przeformułowana, że w niczym nie przypominała tej autentycznej. Nie bez powodu głównym hasłem krytyki wobec tak pojętego modelu ludowości jest „cepeliada".

„Cepeliowski kicz"

Warto o tym pamiętać, oglądając to, co zgromadzono na wystawie: odzież, tkaniny, biżuterię, przedmioty codziennego użytku, plakaty i łowickie wycinanki. Ponadto pamiątki, które odwiedzający Polskę Ludową turyści zabierali do domu i sporo pseudoludowej tandety, w postaci ciupag, kiczowatych lalek czy landszaftów.

Z drugiej strony istnienie Cepelii stanowiło dla wielu tzw. koncesjonowanych twórców ludowych sposób na życie. Oblicza się, że w połowie lat 50. w jej skład wchodziło już ponad 200 spółdzielni rękodzieła ludowego i artystycznego, m.in.: „Ład", „Koronka", „Wanda", „Pilsko", „Sztuka Łowicka", „Rękodzieło Artystyczne" czy „Podhalańska". Dodajmy do tego ponad 100 zakładów przemysłu artystycznego, 60 sklepów detalicznych i tyleż punktów skupu gotowych wyrobów. Ponadto kilkadziesiąt magazynów hurtowych.

Liczba zatrudnionych wynosiła blisko 30 tys. osób, w tym 10 tys. chałupników, wykonujących pracę u siebie w domu i na własnym warsztacie. Do Cepelii swoje produkty dostarczało także 20 tys. lokalnych producentów. „Przemysł artystyczny obejmował bardzo wiele dziedzin (...) Nie sposób w tym miejscu choćby krótko omówić wszystkich profili cepeliowskiego wzornictwa, ale jednym z najpoważniej rozwiniętych były tkaniny dekoracyjne, głównie kilim, gobelin i żakard" – pisze Kurdyba.

Pawilon przy Marszałkowskiej

Pierwszym prezesem Cepelii została Zofia Szydłowska. Ponoć dlatego, że jako dyrektorka fabryki sukna Rakszawa wystosowała memoriał do Ministerstwa Przemysłu z ideą ogólnopolskiej organizacji, która zajmie się skupem ludowego rękodzieła i jego sprzedażą. W 1950 r. zastąpił ją Tadeusz Więckowski.

To głównie jemu zawdzięczamy wykreowanie mody na ludowy styl wśród miastowych. „Los sztuki ludowej nie zależy dzisiaj od wsi, ale od zapotrzebowania na nią w mieście" – zauważał Więckowski i wyciągał wnioski: „Skoro nie można zmienić tej rzeczywistości, trzeba się do niej przystosować, by ocalić to, co ważne z dorobku przeszłości".

Aby wymóc innowacyjność i zmienność wzorów, Więckowski wprowadził m.in. nowy sposób premiowania. Połowę premii wypłacano za wykonanie planu produkcji, a drugą połowę za wykonanie planu artystycznego. Było to absolutne novum w warunkach socjalistycznej gospodarki.

Wizytówką Cepelii stał się w 1966 r. postmodernistyczny pawilon w centrum Warszawy, w sąsiedztwie ukończonego rok wcześniej hotelu Metropol. Na elewacji umieszczono neony przedstawiające logo Cepelii – kogutka.

Przeminęły złote lata

W latach 60. i 70. nie było chyba polskiego mieszkania, gdzie nie byłoby czegoś z Cepelii: lnianego obrusa albo drewnianego talerza na ścianie. Wyroby Cepelii trafiły także na eksport, by służyć promocji kultury polskiej na świecie. Pierwszy zagraniczny sklep powstał w 1958 r. – okazją było Expo w Brukseli. Dwa lata później został otwarty sklep w Nowym Jorku. Ostatecznie zagranicznych sklepów Cepelia miała siedem. W 1967 r. polska sztuka ludowa doczekała się nawet wystawy w londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta.

W 1971 r. na Placu Defilad w Warszawie odbyła się pierwsza Cepeliada, prekursorka dzisiejszych kiermaszy ludowych. Można było kupić wyroby od twórców strugających świątki w drewnie, asortyment od kierpców po wiklinowe żyrandole i skosztować regionalnego jedzenia: oscypków czy placków ziemniaczanych z Podlasia.

Cepeliady skończyły się w latach 80., wraz z kryzysem. Wszystko to, co kojarzone było z Cepelią, jawiło się wówczas jako niemodne i przestarzałe. Z kolei w latach 90., na fali emocji, sztuka ludowa budziła jedynie negatywne skojarzenia z poprzednim ustrojem. Początek III RP to triumf estetyki korporacyjnej – sztuka ludowa w takich wnętrzach już się nie odnalazła.

Skarby z magazynów

Wystawa „Obywatelka Cepelia" wpisuje się w najnowsze badania nad kulturą materialną PRL i pozwala zrozumieć, dlaczego instytucja o ogromnym wpływie społecznym i kulturotwórczym do dziś budzi sprzeczne emocje również wśród muzealników i specjalistów. Ma też niewątpliwe walory poznawcze – większość z udostępnionych zwiedzającym obiektów nigdy wcześniej nie była pokazywana, pochodzą z prywatnych zbiorów lub zostały wydobyte z czeluści magazynów różnych muzeów.

Likwidacja Cepelii nastąpiła w 1990 r. Zniknęły jej pawilony i sklepy. Prawo do znaku towarowego i nieruchomości dawnej Cepelii przejęła Fundacja Cepelia Polska Sztuka i Rękodzieło. Echem dawnych cepeliad są organizowane co rok Targi Sztuki Ludowej w Krakowie na Rynku Głównym.

Nawiązaniem do przeszłości był także polski pawilon przygotowany na EXPO 2010 r. w Szanghaju. Bryła przypominała wielokrotnie zgiętą kartkę papieru, pokrytą ornamentowym wzorem łowickiej wycinanki.

Muzeum Narodowe w Krakowie, Gmach Główny, ul. 3 Maja 1. Kuratorzy: prof. UAM dr hab. Piotr Korduba i dr Anna Wiszniewska. Wystawa potrwa od 9.10. Informacje: mnk.pl.

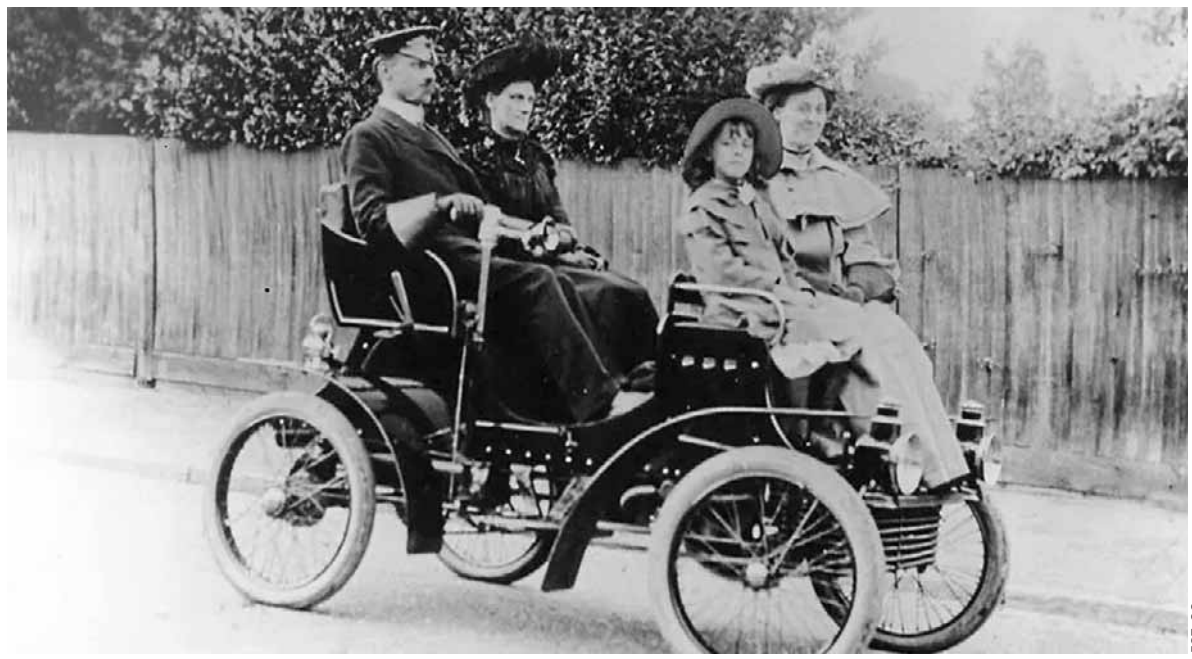
eprasa.pl 6d5d1d980e

HISTORIA

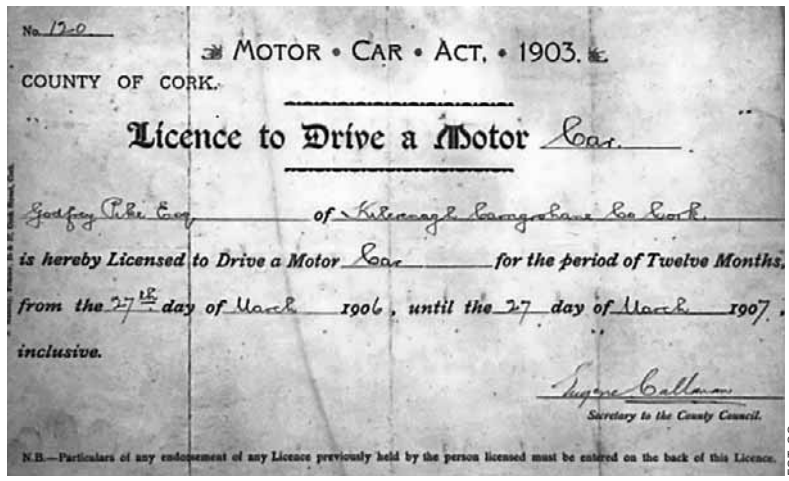
Symbol nadchodzącej ery motoryzacji

123 lata temu, 30 września 1903 r., w Wielkiej Brytanii wprowadzono pierwszą na świecie ustawę o pojazdach silnikowych. Każdy kierowca musiał od tej chwili posiadać prawo jazdy

Mariusz Grabowski



FOT. CC


No. 12-0

MOTOR • CAR • ACT. • 1903.

COUNTY OF CORK.

Licence to Drive a Motor Car.

Godfrey Pike Esq. of Kilcaragh Carraglane Co Cork.

is hereby Licensed to Drive a Motor Car for the period of Twelve Months, from the 27th day of March 1906, until the 27 day of March 1907, inclusive.

Eugene Callanan

Secretary to the County Council.

N.B.—Particulars of any endorsement of any Licence previously held by the person licensed must be entered on the back of this Licence.

FOT. CC

Jedno z pierwszych praw jazdy. U góry samochód Vauxhall w 1903 r.

Ale choć tzw. Motor Car Act nakazywał obowiązek posiadania przez kierowców stosownego dokumentu, nie wymagał żadnej formy egzaminu, który potwierdzałby ich drogowe umiejętności.

Rodzi się przyszłość

Na początku XX w. na angielskich drogach terkotało już całkiem sporo samochodów, głównie Vauxhalli, Austinów czy Morrisów. Były to prawdziwe demony szos. Np. Vauxhall 5hp Light Car, wyposażony w pięć koni mechanicznych, napędzany na tylne koła za pomocą dużego łańcucha i wolantu, mógł rozpędzić się nawet do 25 mil na godz. (ok. 40 km).

Decyzja Izby Gmin była zatem perspektywiczna: wobec rosnącej potęgi motoryzacji trzeba było uregulować kwestię prawa poruszania się po drogach. Motor Car Act wymagał więc, by każda osoba prowadząca samochód miała przynajmniej 17 lat, wprowadzono obowiązek rejestracji aut w lokalnych urzędach i oznaczania ich tablicami rejestracyjnymi, ustanowiono też ograniczenie prędkości do 20 mil na godz.

Kierowca musiał oświadczyć, że potrafi bezpiecznie kierować pojazdem mechanicznym, ale nie wymagano odeń żadnej weryfikacji. Testy i egzaminy pojawiły się dopiero w kolejnych latach, a realnie dopiero po Wielkiej Wojnie.

Prawo i polityka

Pojawienie się prawa jazdy potwierdziło zasadę, że każde zjawisko cywilizacyjne wcześniej czy później zostaje obwarowane prawem. Co zwykle budzi sprzeciw zainteresowanych. Tak było i w tym przypadku – przeciw regulacjom Motor Car Act protestowali nie posiadacze aut, co zrozumiałe, ale też politycy, zarówno liberalni, jak i konserwatywni.

W licencjonowaniu prawa do rozpędzenia się swoim Vauxhallem, nawet jeśli posiadał tylko dwa biegi, po brukach Londynu i polnych drogach Yorkshire widziano zamach na wolność osobistą, a w papierowym dokumencie odgórną stygmatyzację, spiskowo zaplanowaną przez rząd Arthura Jamesa Balfoura, skądinąd zagorzałego obrońcy „Starej dobrej Anglii".

Osobistą wojnę z Motor Car Act prowadził Alfred Charles William Harmsworth, nie tylko pierwszy wicehrabia Northcliffe, ale także właściciel „Daily Mail" i „Daily Mirror". Inwektywy na posłów, którzy zagłosowali za ustawą motoryzacyjną, zajmowały jesienią 1903 r. sporo miejsca w obu jego tytułach.

Benz u księcia

Obowiązek posiadania prawa jazdy w Anglii miał charakter powszechny. Ale próby uregulowania tej kwestii indywidualnie miały miejsce już wcześniej w Niemczech, ojczyźnie motoryzacji. Pierwszym tamtejszym prawem jazdy był dokument wystawiony dla Karla Benza w 1888 r. W związku ze skargami mieszkańców Mannheim na hałas i smród, jaki roztaczał jego Motorwagen, otrzymał on pisemne zezwolenie od Wielkiego Księcia Badenii Fryderyka I Wilhelma Ludwika na używanie swego pojazdu na drogach publicznych.

Mówienie o „hałasie i smrodzie" w przypadku pojazdu Benz Patent-Motorwagen Nummer 1, rachitycznego trójkołowca przypominającego bardziej rikszę niż samochód, było grubą przesadą. Ale faktem jest, że mógł budzić grozę u badeńskich wieśniaków i wozaków, pędząc 16 km na godz. i skrzypiąc metalowymi obręczami kół.

Prawo jazdy dla Karla Benza Wielki Książę spisał ręcznie na karcie papieru, umieszczając na dole fantazyjny zawijas.

Francuzi też chcą

O motoregulacjach myślano też we Francji. Już 14 sierpnia 1893 r. wprowadzono tam obowiązek posiadania tzw. certificat de capacité – certyfikatu zdolności, w tym wypadku zdolności poszczególnego kierowcy do prowadzenia pojazdu mechanicznego.

W przeciwieństwie do przepisów angielskich, kandydat do prowadzenia musiał wykazać się umiejętnością uruchomienia swojego pojazdu, udowodnienia, że potrafi prowadzić go „w odpowiednim kierunku" i zatrzymania go. Taki test musiał przejść pod okiem mundurowych na dziedzińcu Prefektury Policji w Paryżu.

Jednak powszechność posiadania dokumentu wprowadzono we Francji dopiero w 1922 r. Przy okazji określenie „certificat de capacité" zastąpiono terminem „permis de conduire", czyli nazwą odpowiadającą z grubsza dzisiejszemu prawu jazdy.

Lawina aut w Stanach

Z kolei pierwsze amerykańskie prawo jazdy wystawiono w 1899 r. w Troy, jednym z centrów ówczesnego amerykańskiego przemysłu stalowego, w stanie Nowy Jork. Miało formę, jak w przypadku Karla Benza, zwykłego listu podpisanego przez burmistrza i poświadczonego pieczęcią, który zezwalał na jazdę „powozem bez koni" z prędkością do sześciu mil na godzinę.

Podobne dokumenty wystawiano w innych stanach. Aby je otrzymać, nie trzeba było zdawać żadnego testu, ani teoretycznego, ani praktycznego – wystarczyło opłacić symboliczną opłatę. Egzaminy – w formie dość uproszczonej – pojawiły się dopiero ok. 1913 r. Cały proces koncesjonowania przebiegał dość wolno, zważywszy, że Stany Zjednoczone były już na drodze do motoryzacyjnej potęgi.

Statystyka podaje, że na przełomie XIX i XX w. za oceanem zarejestrowanych było 8 tys. aut. W 1903 r., gdy Anglia regulowała stan prawny kierowców, 33 tys. W 1906 r. po amerykańskich drogach śmigało już ponad 100 tys. aut, w 1913 r. ich liczba przekroczyła milion, a w 1920 r. osiem milionów.

Konsekwencjalizm

Spójrzmy na prawo jazdy przez pryzmat społeczny. Zdobycie dokumentu to nie tylko proces administracyjny, ale przede wszystkim świadome wejście w przestrzeń społeczną opartą na odpowiedzialności za skutki swoich czynów. Od strony filozofii prawa tę teorię na gruncie etyki normatywnej, obowiązującą dziś praktycznie na całym świecie, nazywamy konsekwencjalizmem.

Zmarły w 1997 r. amerykański filozof Richard B. Brandt w pracy „Etyka. Zagadnienia etyki normatywnej i metaetyki" wyróżnił dwa główne typy konsekwencjalizmu: egoistyczny, który nas w tym momencie nie interesuje, oraz uniwersalistyczny, wedle którego powinnością moralną jest dokonanie „takiego czynu, którego konsekwencją jest przyrost dobra w ogóle".

Prawo jazdy daje przywileje, ale wymaga odpowiedzialności. Z grubsza można to ująć następująco: „Chcesz jeździć samochodem – przestrzegaj obowiązujących przepisów". Droga jest przestrzenią publiczną, w której wolność jednostki jest rygorystycznie ograniczona. Z górą sto lat temu protestowali przeciw temu angielscy liberałowie, ale czas pokazał, że nie mieli racji.

Prawa jazdy w Polsce

Na koniec przypomnijmy, jak przebiegała recepcja idei praw jazdy w Polsce. Początkowo była to kalka pomysłów zachodnich. Ale już jesienią 1918 r. powstały pierwsze komisje egzaminacyjne dla kandydatów na kierowców. Zasiadali w nich członkowie automobilklubów, pasjonaci motoryzacji i wojskowi.

Pierwsze dokumenty miały wygląd małych, zielonych książeczek, zawierających dane osobowe kierowcy, datę uzyskania uprawnień i wykaz „przykazań" automobilisty. Przepisy dotyczące praw jazdy doprecyzowano w 1921 r., wraz z wejściem w życie pierwszego polskiego kodeksu drogowego – „Przepisów o ruchu pojazdów mechanicznych po drogach publicznych".

Już wówczas zamiłowanie Polaków do komplikacji administracyjnych było ogromne. Wprowadzono np. kategorię praw jazdy, zróżnicowanych od rodzaju pojazdu. Najniższa, V kategoria, upoważniała do prowadzenia motocykli, a posiadacz tzw. jedynki, czyli kategorii najwyższej, mógł prowadzić autobusy. W tym czasie Henry Ford wprowadził taśmową produkcję samochodów, a że Fordy T docierały również do Polski – powstała specjalna kategoria prawa jazdy – II B – która uprawniała do prowadzenia tylko tego modelu auta.

eprasa.pl 6d5d1d980e

POD PARAGRAFEM

• **Zbliża się rocznica śmierci** Benjamina MacKinlay'a Kantora (ur. 4 lutego 1904 r., zm. 11 października 1977 r.), amerykańskiego pisarza, dziennikarza, scenarzysty i autora słynnej powieści „Diversey" (1928 r.), traktującej o gangsterach chicagowskich.

HISTORIA

Jak polscy żołnierze wykrwawiali się na ulicach Kołobrzegu

Jakub Szczepański

Mija 70 lat od jednej z bardziej krwawych bitew, w których brała udział I Armia Wojska Polskiego. Szturm Kołobrzegu był dla Polaków zwycięską jatką.

Był początek marca 1945 r. Machina III Rzeszy niechybnie zmierzała ku upadkowi. Wał Pomorski, blisko 300-kilometrowy odcinek niemieckich umocnień, został przełamany przez ofensywę polsko-radziecką.

Front się rozciąga

I Armia WP dowodzona przez gen. Stanisława Popławskiego skręciła na północ, w kierunku Kołobrzegu, gdzie niemieccy wojacy okopali się na pozycjach Festung Kolberg.

Sowieci uznali, że nadszedł najwyższy czas, aby zmiażdżyć Niemców podczas decydującego starcia. Decyzja nie była jednak wcale tak oczywista, jak mogłoby się wydawać.

Rosjanie prą na Zachód

„Praktyczne wnioski z sytuacji strategicznej, do jakich doszły zarówno sztab generalny, jak i kwatera główna, zostały wypracowane nie od razu, nie w wyniku jakiegoś jednorazowego aktu, lecz rodziły się stopniowo w procesie bieżącej pracy" – wspominał radziecki gen. Siergiej Sztemienko.

Komunistyczni planiści wymyślili uderzenie niemal na całym froncie rosyjsko-niemieckim – od Budapesztu przez Karpaty aż po Morze Bałtyckie. Plan podzielono na dwie fazy. Pierwsza zakładała przełamanie i rozcięcie frontu obrony nieprzyjaciela przy jednoczesnej dezorganizacji łączności oraz współdziałania kolejnych jednostek wroga. Krasnoarmiejcy mieli działać na linii Bydgoszcz – Poznań – Wrocław – Wiedeń. Kolejnym krokiem był już Berlin.

Na przedmieściach

Na wylotowych ulicach miasta zaczęły pojawiać się pierwsze barykady. W praktyce wewnętrzną organizację obrony utrudniał Niemcom kołobrzeski kreisleiter NSDAP, niejaki Anton Gerrietz. Aparatczyk próbował wpływać na decyzję dowódców twierdzy. Sytuacja zmieniła się jednak diametralnie. Tyle że dopiero 1 marca 1945 r., kiedy dowodzenie przejął płk Fritz Fullriede. Armia radziecka stała już wtedy u stóp Kołobrzegu, 4 marca weszła na przedmieścia miasta.



Polscy artylerzyści biorący udział w szturmie na kołobrzeski port. Krwawa bitwa stoczona została w dniach 4–18 marca 1945 r.

Sytuację obrońców pogarszał fakt, że z początkiem marca Rosjanie zdobyli Koszalin i Białogard. Cywilni uciekinierzy dosłownie szturmowali Kolberg. Każdy próbował się ratować na własną rękę. Obłożone były dworzec kolejowy i port. Pociągi miały odjeżdżać w kierunku Niemiec, ale ze względu na ostrzał radziecki niewiele z nich dotarło do celu. Niewiele lepiej mieli się uciekający na wschód wzdłuż wybrzeża.

8 marca, kiedy do walk o Festung Kolberg przyłączyły się polskie oddziały, w mieście zostało blisko 100 tys. cywilów. Ci ludzie mogli się ewakuować jedynie drogą morską. „Ludzie krzyczeli, płakali, biegali bez celu, nie wiedząc, gdzie iść czy gdzie stanąć w kolejce, by wejść na pokład statku. Nawet gdy wśród tłumu zaczęły rozrywać się szrapnele, nie ruszyli z miejsca" – wspominał jeden z byłych żołnierzy przed kamerą telewizji ZDF.

Skrwawiona Parsęta

O walkach I Armii Wojska Polskiego pisze m.in. Kazimierz Sobczak w książce „Wyzwolenie Północnych i Zachodnich Ziem Polskich w roku 1945". Zwraca uwagę przede wszystkim na to, że zdobycie Kołobrzegu znacznie utrudniało manewry strony niemieckiej. Po wykonaniu zadania nazistowski transport jednostek drogą morską był zwyczajnie niemożliwy.

Jako pierwsza do walki stanęła I Armia Pancerna Sowietów, ale miasta nie udało się zdobyć. Później do akcji wkroczyła więc polska 6. dywizja piechoty pod dowództwem płk. Giennadija Szejpaka. Jego żołnierze mieli uderzyć na twierdzę od południowego zachodu. Odpowiednią dyspozycję wydano w nocy z 7 na 8 marca.

Z pochodzenia białoruski dowódca nie zastanawiał się długo i bez należytego przygotowania przystąpił do realizacji rozkazu. Jego ludzie mieli dostać się do miasta, idąc między rzeką Parsętą a brzegiem morza. W pierwszym rzucie użyto dwóch pułków piechoty, w kolejnym – jednego.

Ściana ognia

Jak wyglądała niemiecka Festung Kolberg? Umocnienia to przede wszystkim trzy pierścienie obronne i wiele punktów oporu. Od północy miasto osłonięte było morzem, od strony lądu zaś rozciągała się podmokła dolina, której szerokość sięgała nawet kilometra. Obronie twierdzy sprzyjały też rozbudowana sieć kanałów oraz gęsta zabudowa.

W praktyce miasta broniło nawet 12 tys. żołnierzy niemieckich, w tym z jednostek Volkssturmu. Z lądu wspierało ich blisko 80 dział, wyrzutnie ciężkich pocisków rakietowych oraz moździerze. W Kołobrzegu Niemcy zdołali zgromadzić prawie 20 czołgów i dział pancernych, a także 12 transporterów. Do tego ogień z dział artyleryjskich niszczycieli Rzeszy.

12 marca gen. Popławski zdecydował o wprowadzeniu do walk świeżych sił. Do bitwy włączyły się 4. dywizja piechoty gen. Kieniewicza oraz 4. pułk ciężkich czołgów.

Ucieczka na statki

Dzień po dyspozycji Popławskiego w walkach o Kołobrzeg biło się 60 proc. piechoty I Armii Wojska Polskiego, wszystkie czołgi, 3/4 artylerii ciężkiej, połowa artylerii lotniczej i całe lotnictwo. Już wtedy wiadomo było, że sprawa jest przesądzona.

Płk Fullriede otrzymał ultimatum z propozycją kapitulacji. Niemcy potwierdzili odbiór, ale odpowiedzieli, że skoro w 1807 r. nie udało się zdobyć miasta wojskom napoleońskim, to i Polakom się nie uda. Ale na radziecko-polską odpowiedź nie było trzeba długo czekać.

W tej sytuacji dowodzący obroną twierdzy zadecydował o ewakuacji. Hitlerowcy zaczęli uciekać w nocy z 16 na 17 marca. Ostatniego dnia walk Niemcy zostali zamknięci na małym skrawku plaży i portu. Tuż po północy dowództwo zdecydowało, żeby żołnierze przeszli na statki. Do niewoli trafiło jedynie 200 żołnierzy z oddziałów osłonowych.

Krzyże za szturm

Port w Kołobrzegu upadł wczesnym rankiem 18 marca. Straty po stronie komunistycznego wojska polskiego? Po 11 dniach zmagań AWP odnotowało blisko 2 tys. poległych i ponad 2,5 tys. rannych. Radzieckie straty liczy się w setkach. Dziennie wystrzelano ponad 30 tys. pocisków, a średnie tempo zdobywania terenu szacuje się na 300-400 m. Niewątpliwie szturm okazał się mozolny i w praktyce daleko mu do misterium sztuki wojennej. Rannych i zabitych Niemców doliczono się ponoć 5 tys., kolejne 4 tys. wzięto do niewoli.

Wczesnym popołudniem na tarasie i stoku Fortu Ujście doszło do ponownego mariażu polskich sił zbrojnych i morza. „To jest historia (...) Wy tworzycie historię, jak niegdyś tworzyli ją Chrobry i Krzywousty" – grzmiał ppłk Piotr Jaroszewicz, politruk I AWP. Na piersiach 40 żołnierzy pojawiły się Krzyże Walecznych.

Zawsze nasze

Część oficjalna uroczystości po bitwie wymaga odnotowania. Pośród pożogi, zwłok i zrujnowanych domów kpr. Franciszek Niewidziało wchodzi na trybuny i wypowiada historyczne słowa: „Przyszliśmy, morze, po ciężkim i krwawym trudzie. Widzimy, że nie poszedł na darmo nasz trud. Przysięgamy, że cię nigdy nie opuścimy. Rzucając pierścień w twe fale, biorę z tobą ślub, ponieważ tyś było i będziesz zawsze nasze".

W końcu 18 marca zmrok otulił skrwawioną plażę w Kołobrzegu. Wokół grzmiały salwy. Niewidziało w asyście dwóch innych żołnierzy wrzucił zaślubinowy pierścień w morskie fale. Festung Kolberg przeszła do historii.

eprasa.pl 6d5d1d980e

HIPOKRATES 2026

LIDERZY RANKINGÓW

LEKARZ RODZINNY LUB POZ ROKU
1. **Szymon Szewczyk,** Clinica Medica, Żabia Wola
2. **Albert Kaple,** Indywidualna Praktyka Lekarska, Wyszków
3. **Jarosław Wesołowski,** Zakład Lecznictwa Otwartego, Warszawa

PEDIATRA ROKU
1. **Edyta Giżyńska-Roman,** Eskulap Centrum Medyczne, Ciechanów
2. **Dorota Jarzębicka,** Instytut Pomnik - Centrum Zdrowia Dziecka, Warszawa
3. **Agnieszka Jarymowicz,** Przychodnia Esculap, Marki

PIELĘGNIARKA/PIELĘGNIARZ ROKU
1. **Aneta Smyk,** Szpital, Warszawa
2. **Aleks Derbin,** SP ZZOZ, Kozienice
3. **Konrad Drozd,** Grupa Zdrowie Gradowskiego, Płock

STOMATOLOG/ORTODONTA ROKU
1. **Milena Zygarska,** Stomatologia Smile, Radom
2. **Katarzyna Brus-Sawczuk,** Centrum Medyczne Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Warszawa
3. **Paweł Rudnicki,** Vision-Dent Sylwia Dziura, Marki

POŁOŻNA/POŁOŻNY ROKU
1. **Anna Stefanek,** Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, Warszawa
2. **Emilia Wilczyńska,** Szpital Specjalistyczny im. Świętej Rodziny, Warszawa
3. **Zuzanna Durka,** Szpital św. Anny, Piaseczno

GINEKOLOG ROKU
1. **Michał Gontkiewicz,** Femi Premium Michał Gontkiewicz, Ożarów Mazowiecki
2. **Ryszard Kołcz,** SPZZOZ im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Płońsk
3. **Beata Wiśniewska,** Alfamed, Mława

CHIRURG ROKU
1. **Agnieszka Bielarska,** Klinika Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Leczenia Oparzeń, Warszawa
2. **Małgorzata Polańska-Płachta,** Szpital Czerniakowski, Warszawa
3. **Aneta Obcowska-Hamerska,** Ober Clinic, Warszawa

ORTOPEDA ROKU
1. **Julia Macias,** SPSK im. prof. Adama Grucy CMKP, Otwock
2. **Cezary Buko,** Mazowiecki Szpital Specjalistyczny im. dr. Józefa Psarskiego, Ostrołęka
3. **Sebastian Chamara,** SPZZOZ, Szydłowiec

FIZJOTERAPEUTA/OSTEOPATA ROKU
1. **Jakub Szmajdka,** Ośrodek Rehabilitacji CEMICUS, Warszawa
2. **Sandra Glinka,** Centrum Medyczne Goldenmed, Serock
3. **Natalia Gronkiewicz,** Szpital Powiatowy, Sochaczew

KARDIOLOG ROKU
1. **Bartosz Puchalski,** PZU Zdrowie S.A. Oddział Centra Medyczne, Piaseczno
2. **Jarosław Kosior,** Mazowiecki Szpital Specjalistyczny, Radom
3. **Emil Jędrych,** SPZZOZ im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Płońsk

UROLOG/NEFROLOG ROKU
1. **Marek Braszko,** Wojewódzki Szpital Zespolony, Płock
2. **Antoni Sokalski,** Centrum Medyczne Aeskulap, Radom
3. **Dariusz Ostapowski,** Wojewódzki Szpital Zespolony, Płock

OKULISTA ROKU
1. **Małgorzata Seroczyńska,** Instytut Matki i Dziecka, Warszawski Uniwersytet Medyczny, Centrum Medyczne Żelazna, Centrum Medyczne Arka, Warszawa
2. **Dorota Walasik-Szemplińska,** Sensor Cliniq, Warszawa
3. **Agata Golik,** Klinika Demeter, Warszawa

DERMATOLOG ROKU
1. **Piotr Ciechanowicz,** Centrum Medyczne Puławska, AlmiMed, Manufaktura Zdrowia i Urody, Warszawa
2. **Vasiliki Chwiałkowska,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa
3. **Anna Suwalska,** Sense Med Concept, Warszawa

LARYNGOLOG ROKU
1. **Danuta Kuczyńska,** Gabinet Laryngologiczny, Otwock
2. **Małgorzata Pysz-Kuć,** Gabinet Lekarski, Stojadła
3. **Anna Wakarow,** Otolaryngolodzy24 Poradnia Specjalistyczna, Warszawa

ANESTEZJOLOG ROKU
1. **Agnieszka Głusek,** Mazowiecki Szpital Wojewódzki im. św. Jana Pawła II, Siedlce
2. **Tomasz Chudoń,** Radomski Szpital Specjalistyczny, Radom
3. **Paulina Topka-Cyganecka,** Indywidualna Specjalistyczna Praktyka Lekarska, Warszawa

NEUROLOG ROKU
1. **Krystsina Kisialiova,** SP ZZOZ, Kozienice
2. **Agnieszka Andrzejczak-Sobocińska,** Szpital Bielański im. ks. Jerzego Popiełuszki, Podkowa Leśna
3. **Magdalena Braszko,** SPSK im. prof. W. Orłowskiego, Warszawa

RATOWNIK MEDYCZNY/RATOWNIK PRZEDMEDYCZNY ROKU
1. **Konrad Wasielewski,** WSPRiTS Meditrans, Warszawa
2. **Wojciech Jakubowski,** WSPRITS Meditrans, Warszawa
3. **Marcin Zięba,** WSPRITS Meditrans, Warszawa

FARMACEUTA/TECHNIK FARMACEUTYCZNY ROKU
1. **Marta Kuczmarska,** Apteka Medicor 3, Mała Wieś
2. **Karolina Dudek,** Ziko Apteka, Warszawa
3. **Monika Lenart-Dróżdż,** Apteka Martyna Wiącek, Jastrzębia

RADIOLOG/TECHNIK ELEKTRORADIOLOG ROKU
1. **Jakub Samkowski,** Klinika Radiologii, Radioterapii i Medycyny Nuklearnej, Warszawa
2. **Beata Boniek,** Radomski Szpital Specjalistyczny im. dr. Tytusa Chałubińskiego, Radom
3. **Ewa Rogala,** Radomski Szpital Specjalistyczny im. dr. Tytusa Chałubińskiego, MedJana, Radom

ONKOLOG ROKU
1. **Iwona Drab-Mazur,** Radomskie Centrum Onkologii, Radom
2. **Przemysław Langiewicz,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa
3. **Wojciech Solarek,** Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa

PSYCHOLOG/PSYCHOTERAPEUTA ROKU
1. **Ilona Jaworska,** Radomedica, Radom
2. **Alicja Jadczuk-Wyrzykowska,** Gabinet Psychoterapii, Warszawa
3. **Agnieszka Jaślikowska-Nowak,** Psycho Mniam, Warszawa

PSYCHIATRA ROKU
1. **Jakub Czarnota,** Samodzielny Wojewódzki Publiczny Zespół Zakładów Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej im. dr Barbary Borzym, Radom
2. **Marta Pawlak,** Gedeon, Konstancin-Jeziorna
3. **Joanna Amrogowicz,** NZOZ PsychoMedic.pl, Warszawa

MENEDŻER PLACÓWKI MEDYCZNEJ ROKU
1. **Angelika Ambroziewicz,** SPZOZ, Siedlce
2. **Emilia Chmielińska,** NZOZ Arnika, Mława
3. **Mariusz Martyniak,** SPZOZ, Sokołów Podlaski

Są przy kobietach w najważniejszych chwilach

Za nami trzeci tydzień głosowania w wielkim Plebiscycie Medycznym Hipokrates 2026 - i dziś znów przyglądamy się bliżej kolejnym jego uczestnikom. Tym razem są to ginekolodzy i położne, czyli osoby, które są przy kobietach w chwilach, których często nie da się zapomnieć. Spotykają panie w bardzo różnych momentach życia, w których potrzeba jednak nie tylko wiedzy medycznej, ale też cierpliwości, wyczucia i zwyczajnie ludzkiego podejścia. Bo w gabinecie czy na porodówce liczy się nie tylko to, co ktoś wie i potrafi, ale też to, jakie ma podejście: czy potrafi jasno coś wytłumaczyć; sprawić, że w sytuacji bardzo intymnej i często stresującej kobieta nie poczuje się jak kolejny numer w dokumentacji medycznej. - Właśnie takich ludzi pacjentki zapamiętują na długo. I takie historie również pojawiają się w naszym plebiscycie Hipokrates - mówi Ewelina Żuberek, która opiekuje się tą akcją od strony redakcyjnej, w ramach której dziś przedstawiamy osoby związane z opieką nad zdrowiem kobiet, zachęcając do poznania bliżej i ich, i naszej akcji.

Szczegółów szukajcie na: www.polskanews.pl/hipokrates

Ważne są dla niej empatia, poczucie humoru i ludzkie podejście

Anna Stefanek (Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, Warszawa) od kilkunastu lat pracuje jako położna, a od początku swojej zawodowej drogi związana jest z opieką nad kobietami w ciąży, szczególnie tymi, które wymagają większej uwagi i specjalistycznego wsparcia. Na co dzień pracuje w Oddziale Patologii Ciąży, gdzie spotyka kobiety często pełne obaw, pytań i niepewności.

Wie, że pobyt na takim oddziale nie jest tym, czego spodziewa się przyszła mama. Dlatego oprócz profesjonalnej opieki tak ważne są dla niej empatia, poczucie humoru i zwyczajne ludzkie podejście. Stara się sprawić, aby ten wymagający czas był dla pacjentek możliwie spokojnym i dobrym doświadczeniem. Czasami oznacza to po prostu rozmowę, uważne wysłuchanie, wyjaśnienie tego, co budzi niepokój, i obecność przy kobiecie.

Swoje doświadczenie wykorzystuje nie tylko w pracy z pacjentkami. Jako nauczyciel akademicki dzieli się wiedzą również ze studentami, przekazując im to, czego sama nauczyła się przez lata praktyki. W jej podejściu położnictwo to bowiem nie tylko medyczna wiedza i procedury. W centrum zawsze pozostaje kobieta i jej potrzeby.



Słucha, wspiera i daje poczucie bezpieczeństwa w ważnych chwilach

Są momenty, w których oprócz profesjonalnej opieki szczególnego znaczenia nabiera zwyczajna obecność drugiego człowieka. Zuzanna Durka (Szpital św. Anny, Piaseczno) dobrze wie, jak ważne dla pacjentek mogą być rozmowa, uważne słuchanie i poczucie, że ktoś naprawdę dostrzega ich emocje oraz potrzeby.

Jako położna z wykształceniem licencjackim opiekuje się kobietami zarówno w połogu, jak i na oddziale ginekologicznym. Do swojej pracy nasza nominowana podchodzi z ciepłem i dużym zaangażowaniem. Szczególne miejsce zajmują w niej rozmowy z pacjentkami. O ich emocjach, potrzebach czy obawach, które w intensywnych momentach życia mogą nabierać szczególnego znaczenia.

Położnictwo jest dla niej nie tylko zawodem, ale pracą wykonywaną z pasją. Zuzanna Durka stara się tworzyć atmosferę, w której każda kobieta może poczuć się bezpiecznie i swobodnie mówić o tym, czego potrzebuje. Swoją codzienną postawą wnosi na oddział ciepło i uważność, pokazując, że dobra opieka to nie tylko konkretne działania, ale przede wszystkim czas poświęcony drugiemu człowiekowi.



PARTNER GŁÓWNY PLEBISCYTU

synoptis pharma

eprasa.pl 6d5d1d980e

PIŁKA NOŻNA

Minus 2 na Narodowym. I dramat w dwóch aktach. Kapitan nie nadążał, ale selekcjoner nie reagował...

Adam Godlewski

Od straty 2 punktów w starciu z najniżej w naszej grupie notowaną Bośnią i Hercegowiną udział w tegorocznej edycji Ligi Narodów UEFA rozpoczęła reprezentacja Polski. Zamiast nowego otwarcia znów przeżyliśmy rozczarowanie...

Po inauguracji występów Biało-Czerwonych w UEFA Nations League na Stadionie Narodowym trudno powstrzymać się od refleksji, że to Robert Lewandowski był największym hamulcowym w zespole Jana Urbana.

Nasz kapitan w kluczowych momentach rywalizacji był o pół tempa spóźniony, za każdym razem o ułamek sekundy za wolno podejmował decyzje. W efekcie na koncie nie zapisał żadnego strzału, pojedynki wygrywał z mniejszą od 50-procentowej skutecznością, podawał z niewiele ponad 60-procentową dokładnością, za to seryjnie tracił piłkę. Pytanie zatem, czy to tylko efekt jet lagu i braku solidnych przygotowań do sezonu - i w trakcie zgrupowania zaczniemy oglądać coraz lepszego „Lewego" - czy właśnie rozpoczął się zmierzch reprezentacyjnej kariery naszego piłkarza wszech czasów?

To pytanie musi sobie postawić przede wszystkim selekcjoner Urban, który najwyraźniej nie był przygotowany - skoro trzymał Roberta aż do 87 minuty na boisku - na tak dramatyczne zjazdy naszej największej gwiazdy. Zamiast poszukać alternatywnego wariantu - który nie został opracowany przed pierwszym gwizdkiem - trener walczący o zachowanie posady z uporem godnym lepszej sprawy czekał na przebudzenie najlepszego strzelca w dziejach reprezentacji Polski. Niestety, podobnie jak kibice, którzy po końcowym gwizdku nie szczędzili (zasłużonych) gwizdów, nie doczekał się...

Generalnie, pierwsza połowa rywalizacji z Bośnią jest do zapomnienia. Nie dość, że już po 24 minutach uraz Jakuba Kamińskiego wymusił pierwszą zmianę, to na dodatek Urban nie trafił ze składem. W fatalnej dyspozycji na zgrupowaniu stawił się Jakub Kiwior. Bez ikry i wymaganego doskoku do rywala na Narodowy wyszedł też Bartosz Slisz. I dopiero po zdjęciu wspomnianego duetu gra naszego zespołu zaczęła się - nieco lepiej - kleić.

Ostatecznie Biało-Czerwoni oddali 14 strzałów na bramkę przeciwnika, w tym 5 celnych, i wypracowali kilka dogodnych okazji. Bodaj najlepszą stworzył sobie Piotr Zieliński, ale osobiście ją zmarnował. Przemysław Frankowski pomógł uporządkować grę w defensywie. Rozgrywający pierwsze spotkanie w reprezentacji Wiktor Nowak dał impuls - także w grze „do przodu" - linii pomocy. Tylko atak obecny był tym razem jedynie teoretycznie...

Plusy? Cóż, szukane na siłę - debiutant Nowak, fakt że mecz zakończyliśmy na „zero z tyłu", właściwe zmiany w przerwie. To może być jednak za mało, aby Urban zachował posadę. Już dziś ze Szwecją potrzebne są konkretny. Czyli gole i punkty...



FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Już wiadomo, że po raz drugi w takim składzie kadra nie zagra na tym zgrupowaniu. Urazy i kiepska forma zmuszą selekcjonera do zmian...

LIGA NARODÓW – DYWIZJA B

POLSKA - BOŚNIA I HERCEGOWINA 0:0

Polska Bułka - Cash, Bednarek, Potulski, Kiwior (46 Frankowski) - Slisz (46 Nowak), Zieliński, Kamiński (24 Zalewski), Szymański, Skóraś (73 Świderski) - Lewandowski (87 Żukowski).

Bośnia: Zlomislić - Katić, Smajlović (46 Memić), Muharemović, Kolasinac - Bajraktarević, Demirović (78 Mahmic), Basić, Sunjić (66 Tahirović), Tabaković (90 Lukić) - Alajbegović (90 Gigović)

Żółte kartki: Kiwior, Bednarek, Cash - Alajbegović, Katić, Sunjić, Kolasinac, Memić

Sędziował: Papapetrou (Grecja). **Widzów:** 46 775.

PIŁKA NOŻNA

Piotr Zieliński: Jesteśmy żądni rewanżu na Szwecji

Zbigniew Czyż

Przed dzisiejszym spotkaniem ze Szwecją pomocnik Biało-Czerwonych Piotr Zieliński wierzy w lepszą skuteczność naszej kadry i rewanż za porażkę ze Szwedami w marcowym barażu o tegoroczny mundial.

Tylko remis z Bośnią i Hercegowiną na otwarcie Ligi Narodów. Duży niedosyt?

Chcieliśmy wygrać, sytuacje do tego były, ale czegoś zabrakło. Bośnia była zdecydowanie do ukłucia, ale taka jest piłka. W drugiej połowie dominowaliśmy Bośniaków, zasłużyliśmy na zwycięstwo, na tego jednego gola więcej. Są kolejne spotkania i zrobimy wszystko, żeby je zwyciężyć. W Bośni stać nas na trzy punkty, jesteśmy dużo lepszym zespołem.

Napastnicy nie mieli zbyt wielu klarownych sytuacji do zdobycia bramki.

Zabrakło nam skuteczności, kilka stuprocentowych okazji było.

Dziś spotkanie ze Szwecją, jest w was duża chęć rewanżu za baraż o mundial?

Jedziemy tam z celem zagrania jak najlepszego meczu i wygranej. Potrzebujemy trzech punktów. Szwedzi mają bardzo dużo indywidualności na światowym poziomie. Spodziewam się ciekawego meczu i tego, że tym razem to my będziemy górą. W marcu cierpieliśmy, byliśmy bardzo rozczarowani tą porażką. Teraz jest nowe rozdanie, mam nadzieję na plus dla nas.

Jak oceniasz poziom „polskiej" grupy i szanse powrotu do elity?

Na pewno jesteśmy w gronie faworytów, zrobimy wszystko, żeby zająć pierwsze miejsce i awansować do Dywizji A. Mamy w naszej drużynie dużo jakości i wierzę, że będziemy to na boisku częściej pokazywać.

Paradoksalnie, granie w Dywizji B jest dla was aktualnie lepszym rozwiązaniem, niż gdybyście grali w elicie?

Nie wiem, dopiero się o tym przekonamy.

PIŁKA NOŻNA

Kontuzja Kamińskiego pokrzyżowała mu plany. Miał nadzieję na kolejne występy

Jakub Jabłoński

Jakub Kamiński w meczu 1. kolejki Ligi Narodów z Bośnią i Hercegowiną (0:0) zagrał 24 minuty. Szybko zmienił go Nicola Zalewski, a Kuba z grymasem bólu opuścił boisko.

Zawodnik do końca miał nadzieję, że to nie jest nic poważnego, ale niestety - w sobotę - wraz z wynikami badań przyszła brutalna diagnoza.

Piłkarza Benfiki czekać będzie kilkudniowa przerwa, a selekcjoner Jan Urban nie czekał długo, tylko powołał w jego miejsce 18-letniego skrzydłowego Oskara Pietuszewskiego z FC Porto.

- Straciliśmy go - zdiagnozował na pomeczowej konferencji. Kuba zszedł z kontuzją, problemy z przywodzicielem. Naciągnął tak mocno, że podejrzewam, iż nie będzie to długa kontuzja, ale w tych okolicznościach, kiedy gramy cztery razy przez 11 dni, to wyklucza go z pozostałych meczów - tłumaczył szkoleniowiec.

W sobotę na profilu „Łączy nas piłka" pojawił się komunikat następującej treści: „Jakub Kamiński nie wystąpi w najbliższych meczach Ligi Narodów UEFA". Warto w tym miejscu przypomnieć, że Biało-Czerwoni zagrają jeszcze ze Szwecją (dziś), Rumunią (2.10) oraz rewanż z Bośnią (5.10). 24-letni ofensywny zawodnik po badaniach opuścił zgrupowanie, leczenie będzie kontynuował już w klubie.



FOT. ADAM JANKOWSKI / POLSKA PRESS

Jakub Kamiński mecz z Bośnią i Hercegowiną zaczął w odważnym stylu, ale jeszcze w pierwszej połowie zszedł z boiska z urazem

- Tak, to jest uraz przywodziciela. W pierwszych minutach poczułem pociągnięcie i poprosiłem trenera o zmianę, w sobotę dzień po meczu mam badania i wtedy po nich będę mógł coś więcej powiedzieć - tłumaczył „Kamyk" tuż po końcowym gwizdku w starciu z Bośnią. - Dobrze wyglądaliśmy z tyłu, choć obie drużyny prezentowały się pod tym względem solidnie. Myślę jednak, że to my mieliśmy zdecydowanie lepsze sytuacje, strzały, przy których bramkarz Bośni się popisywał. Tak że zasłużyliśmy na to, aby ten mecz przechylić na swoją korzyść...

eprasa.pl 6d5d1d980e

SIATKÓWKA

Biało-Czerwoni mistrzami Europy! Polacy zapewnili sobie awans na igrzyska olimpijskie 2028

Zbigniew Czyż

Reprezentacja Polski siatkarzy zdobyła złoty medal mistrzostw Europy. W finałowym meczu w Mediolanie Biało-Czerwoni pokonali Francję 3:1.

Biało-Czerwoni w piątek w półfinale pokonali Słoweńców 3:0, natomiast Francuzi wygrali 3:1 z Finami. Sobotni pojedynek był powtórką finału ostatnich igrzysk olimpijskich, który w Paryżu Trójkolorowi wygrali 3:0. Oba zespoły spotkały się już także w finale mistrzostw Starego Kontynentu - w 2009 roku w Izmirze Polacy zwyciężyli 3:1 i po raz pierwszy triumfowali w turnieju tej rangi. Drugi raz dokonali tego3 lata temu w Rzymie, pokonując w finale Włochów 3:0.

W pierwszym secie finału oglądaliśmy prawdziwy siatkarski bój, twardą wymianę ciosów, z której z akcją wyszli Biało-Czerwoni. Prowadzenie często się zmieniało, polski zespół wygrał na przewagi 31:29.

W drugim secie „Orły" błyskawicznie objęły prowadzenie, które równie szybko się powiększało. Francuzi byli bezradni wobec znakomitej gry podopiecznych trenera Nikoli Grbicia, przegrywając 19:25.

Chwile słabości, jak się później okazało, Polacy mieli tylko w trzeciej partii, przegranej 20:25. W czwartej gra wyrównana była tylko na początku. Potem przewaga polskiego zespołu rosła z każdą akcją. Sukces w finale został przypieczętowany w znakomitym stylu. Polacy zwyciężyli 3. partię 25:16.

To było najlepsze spotkanie Polaków na tych mistrzostwach Europy. Podopieczni Nikoli Grbicia pokazali wielką klasę i udowodnili, że są siatkarską potęgą, po raz drugi z rzędu najlepszą drużyną Europy.

Polacy, zdobywając złoty medal mistrzostw Europy, wywalczyli 12. medal ME w historii oraz 10. pod wodzą serbskiego szkoleniowca Grbicia. Od kiedy objął on kadrę, ta nie schodzi z podium międzynarodowych imprez.

- Jestem bardzo zmęczony i wzruszony. Graliśmy przed fantastyczną publicznością, której chciałbym bardzo podziękować. Dopingowało nas wielu polskich fanów. To był niesamowity mecz, tym bardziej że zapewniliśmy sobie już awans na igrzyska za dwa lata - powiedział tuż po meczu Bartłomiej Bołądź.

- Dziękuję wszystkim kibicom za wsparcie. Mamy kwalifikację olimpijską i to wszystko dzięki wam - dodał na gorąco Wilfredo Leon.

Zawodnik Bogdanki LUK Lublin został wybrany najlepszym siatkarzem turnieju, otrzymując nagrodę MVP. 33-letni Leon, który otrzymał również nagrodę dla najlepszego przyjmującego, został drugim zawodnikiem w historii z tytułem MVP ME w drugiej edycji z rzędu. Wytypowano także „drużynę marzeń". Z Polaków wyróżnieni zostali też środkowi Bartłomiej Lemański i Szymon Jakubiszak oraz libero Jakub Popiwczak. Za najlepszego trenera uznano serbskiego szkoleniowca Polaków.



FOT. PAP

Biało-Czerwoni zdominowali zakończone w niedzielę ME. Biało-Czerwoni w finale pokonali Francję 3:1 i obronili tytuł z 2023 roku

Brązowy medal w mistrzostwach Europy zdobyła reprezentacja Finlandii. W meczu o trzecie miejsce pokonała Słowenię 3:0 i wywalczyła pierwszy w historii tej imprezy. Dzięki triumfowi reprezentacja Polski już teraz zapewniła sobie uczestnictwo w igrzyskach olimpijskich w Los Angeles w 2028 roku.

FINAŁ MISTRZOSTW EUROPY

FRANCJA - POLSKA 1:3 (29:31, 19:25, 25:20, 16:25)
Francja: Magnin, Brizard, Henno , Huetz, Faure, Clevenot - Diez (libero) oraz Duflos-Rossi, Gueye. **Trener:** Giani.
Polska: Komenda, Leon, Jakubiszak, Bołądź, Fornal, Lemański - Popiwczak (libero) oraz Granieczny, Szalpuk, Semeniuk, Firlej, Sasak. **Trener:** Grbić.
Najwięcej punktów: Henno 20, Faure 18, Gueye 10 - Bołądź 16, Fornal 13, Leon 13, Lemański 12, Semeniuk 10.
Sędziowali: Mokry (Słowacja) - Lot (Włochy).

SIATKÓWKA

Podopieczni Grbicia zdominowali EuroVolley 2026. Poza obroną tytułu zgarnęli większość nagród indywidualnych - aż czterech znalazło się w „zespole marzeń"

Jacek Kmiecik

Polska dwukrotnym mistrzem Europy – pierwszym zespołem od czasu Włochów, które dokonały tego w 2003 i 2005 roku. Biało-Czerwoni obronili tytuł i zdominowali EuroVolley, zgarniając większość nagród indywidualnych.

Wilfredo Leon otrzymał nagrodę dla Najbardziej Wartościowego Zawodnika zawodów (MVP), a Nikola Grbić umocnił swoją pozycję trenera, pod którego wodzą reprezentacja Polski zdobyła 10 medali we wszystkich międzynarodowych zawodach, w których brała udział pod jego okiem. Grbić również, obok Włochów Ferdinando De Giorgiego i Andrei Anastasiego, wygrał EuroVolley jako trener i jako zawodnik reprezentacji Jugosławii.

- Jestem bardzo szczęśliwy, zadowolony i dumny. Nie wiem, kto mnie pytał jakiś czas temu o to, dlaczego prezentujemy się lepiej w Lidze Narodów niż w imprezie docelowej. Chcę tylko przypomnieć, że tak się zdarzyło tylko raz - w zeszłym sezonie, gdy po triumfie w Lidze Narodów zdobyliśmy brąz mistrzostw świata. W innych latach albo zajmowaliśmy w imprezie docelowej wyższe miejsce niż w Lidze Narodów, albo mieliśmy po prostu podwójne złoto - powiedział po finale w Mediolanie serbski trener.



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Najlepsi siatkarze i trener mistrzostw na podium. Od lewej: Grbić, Faure i Brizard, Popiwczak, Lemański, Jakubiszak, Leon i Marttila

- Czasami czuję się jak kibic, bo moi zawodnicy robią niesamowite rzeczy. Muszę im pogratulować wszystkiego, co zrobili na boisku, podejścia i mentalności, jaką pokazali, oraz profesjonalizmu. Zawsze robią wszystko, żeby ta drużyna wygrała. Jestem absolutnie dumny, że jestem trenerem tej drużyny - dodał.

Sami siatkarze zawsze podkreślają wsparcie dla swojego mentora.

- Mój MVP turnieju? Nasz trener. Fantastycznie miesza składem i wykorzystuje potencjał całej naszej drużyny - powiedział przyjmujący Kamil Semeniuk w trakcie tegorocznych mistrzostw Europy.

Leon, poza MVP turnieju, został uznany najlepszym zewnętrznym atakującym/przyjmującym EuroVolley 2026.

W „drużynie marzeń" mistrzostw Europy poza Leonem znalazło się jeszcze trzech polskich siatkarzy - obaj środkowi blokujący Bartłomiej Lemański i Szymon Jakubiszak oraz libero Jakub Popiwczak.

- W ogóle od lat się nie spodziewałem, że będę w „drużynie marzeń", ale zacznijmy od tego, że będę w kadrze. Był taki moment, że ja naprawdę nie miałem nadziei, że wrócę. Dostałem szansę i cieszę się, że wykorzystałem ją do końca, bo kończymy sezon z dwoma złotymi medalami, więc czego chcieć więcej - tłumaczył 30-letni „Leman".

- Podejrzewałem, że Bartek będzie w „drużynie marzeń", ale że ja? Zaskoczenie na pewno jest duże - przyznał z uśmiechem Jakubiszak. - Nie czułem się jako jeden z najlepszych, więc to jest naprawdę fajne wyróżnienie, z którego jestem mega dumny i bardzo się cieszę. Ale najważniejszy dla mnie jest medal, który mam na szyi - dodał.

Najlepszym atakującym został Francuz Theo Faure, rozgrywającym jego rodak Antoine Brizard, a drugim zewnętrznym atakującym/przyjmującym przedstawiciel sensacyjnej Finlandii, która w ćwierćfinale wyeliminowała faworytów Włochów i w meczu o trzecie miejsce pokonała Słowenię 3:0 - Nooa Marttila.

Cichym bohaterem mistrzostw był Kamil Semeniuk, który w półfinale i finale spisał się znakomicie w kluczowych momentach, zmieniając Leona.

- Nie przesadzajmy. Wygraliśmy jako cała drużyna. To był naprawdę ciężki mecz. Każdy dołożył swoją cegiełkę. Ja też miałem okazję pojawić się na boisku, więc jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem dodać coś od siebie do tego tytułu i wywalczenia biletu na igrzyska olimpijskie - powiedział skromnie 30-letni zawodnik Perugii, chwaląc przy tym posunięcie trenera Grbicia:

- Trzeba też przyznać, że ma odwagę. W takim meczu jak finał o bilet na igrzyska olimpijskie zdecydował się na zmianę za Wilfredo Leona, który został MVP turnieju. Trzeba mieć naprawdę dużo odwagi, żeby podjąć taką decyzję - zauważył Semeniuk.

eprasa.pl 6d5d1d980e

TENIS

Azjatycka przygoda naszych tenisistów. Państwo Środka gościnne i wypłacalne

Paweł Wiśniewski

W półfinale turnieju tenisowego WTA 500 – „Singapore Tennis Open presented by BNP Paribas" (1 206 446 dolarów), które organizowało Kallang w Singapurze, Maja Chwalińska przegrała z Kanadyjką Leylah Fernandez 6:1, 4:6, 2:6.

25-letnią Polkę i rok młodszą rywalkę, której rodzicami są Jorge pochodzący z Ekwadoru i Irene (z domu Exevea), posiadająca dwa paszporty: filipiński i kanadyjski, łączy kilka rzeczy.

Obie panie mają w dorobku niespodziewanie osiągnięty wielkoszlemowy finał – Chwalińska w tym roku zagrała o tytuł we French Open, a Kanadyjka już w 2021 roku w US Open. Obie są też leworęczne.

Ich pierwszy w historii mecz – rozgrywany na korcie twardym „Arena OCBC" – lepiej zaczęła zawodniczka klubu BKT Advantage Bielsko-Biała. W pierwszym secie,

Maja prowadziła już 5:0 i zanotowała w nim serię 14 z rzędu wygranych piłek! Kilka minut później zamknęła partię.

Fernandez po spotkaniu przyznała, że choć spodziewała się urozmaiconej gry Chwalińskiej, to i tak miała problem z poradzeniem sobie z jej stylem. Frustracja powodowała, że w pierwszym secie Kanadyjka popełniła aż 21 (słownie: dwadzieścia jeden) niewymuszonych błędów, przy ledwie pięciu zagraniach wygrywających. Polka miała w tej partii tylko cztery niewymuszone pomyłki.

Fernandez o kiepskim starcie szybko zdołała jednak zapomnieć. Drugą partię zaczęła od wygrania dwóch gemów i choć nasza tenisitka później odrobiła stratę, to coraz lepiej grająca rywalka przejęła inicjatywę.

Od wyniku 4:4 znów wygrała dwa gemy i wyrównała stan meczu. Trzeci set to już dominacja Kanadyjki. Od rezultatu 1:1 wygrała cztery gemy z rzędu.

Jak bardzo Kanadyjka poprawiła grę, pokazuje statystyka. W drugim i trzecim secie łącznie miała 26 zagrań wygrywających i 22 niewymuszone błędy. Chwalińska natomiast 13 „winnerów" i 24 niewymuszone błędy.

W Singapurze Polka otrzymała czek na 66 003 dolarów.

Mimo porażki Chwalińska w najnowszym notowaniu rankingu światowego WTA przesunie się z 25. na 21. miejssce, czyli wyrówna swoje najlepsze osiągnięcie w karierze.

Jest o co grać

Jan Zieliński i Brytyjczyk Luke Johnson awansowali do finału debla turnieju ATP 250 – „Chengdu Open" (pula nagród: 1 210 115 dolarów) na kortach twardych w chińskim Chengdu. W półfinale wygrali z niemieckim duetem Jakobem Schnaitterem i Markiem Wallnerem 6:3, 6:2. Mecz trwał równo godzinę.

W spotkaniu o tytuł ich rywalami będzie lepsza z par pomiędzy najwyżej rozstawionymi Francuzami Theo Arribage i Albano Olivetti, a Amerykaninem Robertem Gallowayem i Szwedem Andre Goranssonem.

Na zwycięzców imprezy czeka premia w wysokości 64 020 USD

Najsłabiej w turniejach azjatyckich spisuje się na razie Kamil Majchrzak, który przegrał już w 2. rundzie turnieju ATP 250 – „AITO Hangzhou Open" (pula nagród: 1 039 090 dolaów) na kortach twardych w chińskim Hangzhou 6:7(4), 7:6(5), 2:6 z Chińczykiem urodzonym w mongolskiej rodzinie – Bu Yunchaokete.

Nasz tenisista może liczyć na skromną wypłatę 18 235 dolarów.



FOT. ROSLAN RAHMAN/AFP/EAST NEWS

Maja Chwalińska pomału odzyskuje formę sprzed kilku miesięcy

KOLARSTWO

Wiadomo, że na naszą Kasię można liczyć. Mamy medal!

Katarzyna Niewiadoma-Phinney wicemistrzynią świata w wyścigu ze startu wspólnego. To 19. medal w historii startów Polaków w MŚ elity

Paweł Wiśniewski



FOT. EAST NEWS

Katarzyna Niewiadoma-Phinney nieznacznie przegrała złoty medal MŚ

Katarzyna Niewiadoma-Phinney zdobyła srebrny medal kolarskich mistrzostw świata w Montrealu w wyścigu ze startu wspólnego. Na finiszu Polkę wyprzedziła Holenderka Demi Vollering. Trzecie miejsce zajęła Włoszka Elisa Longo Borghini.

Dominika Włodarczyk zajęła bardzo dobre, 8. miejsce. Pozostałe reprezentantki Polski nie ukończyły rywalizacji (Marta Lach, Kaja Ryszi Marta Jaskulska).

Wyścig prowadził z miejscowości Brossard do centrum Montrealu i liczył 180,1 km. Na trasę ruszyło 138 cyklistek.

Do wypadku doszło już po pokonaniu odcinka dojazdowego - na 13-kilometrowej rundzie w mieście usytuowanym nad Rzeką Świętego Wawrzyńca. Panie pokonywały ją ośmiokrotnie, a tempo rosło z okrążenia na okrążenie. Czołówka topniała.

Gdy do mety zostało 38 km, zaatakowała Vollering, próbując powtórzyć swój wyczyn z ubiegłorocznych mistrzostw Europy we Francji, który przyniósł jej po samotnej ucieczce złoty medal (a Niewiadomej-Phinney srebrny).

Tym razem jednak Holenderka, choć miała pół minuty przewagi, została doścignięta 15 km przed metą przez Polkę, Longo Borghini i Francuzkę Juliette Berthet. Zawodniczki były coraz bardziej zmęczone niezwykle długim dystansem i wyczerpującą trasą.

Na starcie ostatniego okrążenia Longo Borghini miała 10-sekundową przewagę, zanim doścignęły ją i wyprzedziły Vollering i Niewiadoma.

Dwie wielkie rywalki dojechały razem do ostatniej prostej. W końcu do finiszu zerwała się Polka, ale na ostatnich metrach złapał ją skurcz.

To 19. medal w historii startów Polaków w tej imprezie w konkurencji seniorów (elity), a drugi wywalczony przez zawodniczkę z Ochotnicy Górnej niedaleko Nowego Targu. W 2021 roku w Leuven sięgnęła po brąz.

Na dorobek Biało-Czerwonych składa się siedem złotych krążków, osiem srebrnych oraz cztery brązowe. Piętnaście medali wywalczyli jeszcze przed zniesieniem podziału na zawodowców i amatorów w 1996 roku.

Cztery wywalczyli w wyścigu elity: oprócz dwóch medali Katarzyny Niewiadomej, złoto zdobył Michał Kwiatkowski w 2014 roku w Ponferradzie, a srebro - Zbigniew Spruch w 2000 w Plouay.

KAJAKARSTWO GÓRSKIE

Polka wygrała włoską „Bitwę Pomarańczy"

Paweł Wiśniewski

W malowniczej włoskiej miejscowości Ivrea niespełna 28-letnia Klaudia Zwolińska została mistrzynią Europy w kajakarstwie górskim w konkurencji K1. Tym samym Polka powtórzyła sukces sprzed dwóch lat z Lublany.

W swojej koronnej konkurencji, wicemistrzyni olimpijska w slalomie K1 (2024) oraz mistrzyni świata w slalomach C1 oraz K1 (2025), wyprzedziła zawodniczkę gospodarzy - Lucię Pistoni o 0.99 sekundy i Niemkę Emily Apel o 1.21 sekundy.

Ivrea, słynąca z „Bitwy Pomarańczy" - usytuowana w północno-zachodnich Włoszech, w pobliżu Turynu - okazała się dla Zwolińskiej bardzo szczęśliwa.

- Cieszę się, bo to jedno z moich ulubionych miejsc startowych - wyjaśniła Polka, która w swojej karierze wywalczyła w sumie już dziewięć medali mistrzostw Europy. - Tor jest w centrum miasta, w pięknej okolicy. Bardzo techniczny z elementami, które lubię. Wykorzystałam dobrze swoją technikę.



FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Prawdziwa królowa kajakarstwa górskiego - Klaudia Zwolińska

Niespełna dobę później zawodniczka KKK Kraków zdobyła kolejne dwa medale - srebrny i brązowy. Najpierw, w próbie czasowej kayak cross lepsza okazała się tylko Brytyjka Kimberley Woods, która wyprzedziła naszą kajakarkę o 0.64 sekundy. Trzecia została sklasyfikowana Lucia Pistoni (strata do zwyciężczyni 0.74 sekundy).

Z kolei w konkurencji cross, Polka musiała uznać wyższość Czeszki Terezy Kneblovej i innej Brytyjki Mallory Franklin.

Zawody we Włoszech były ostatnim akordem sezonu 2026, którego punktem kulminacyjnym były w lipcu mistrzostwa świata w Oklahoma City, gdzie Polacy wywalczyli dwa medale: Michał Pasiut - srebrny w K1 oraz Klaudia Zwolińska - brązowy w C1.

Przypomnijmy, że podczas ubiegłorocznych MŚ w Penrith Polka sięgnęła po trzy medale, zostając pierwszą zawodniczką w historii, która na jednej imprezie tej rangi zdobyła medale w trzech różnych konkurencjach!

eprasa.pl 6d5d1d980e

ŻUŻEL

Bartosz Zmarzlik nie zatrzymał Lambo. Brytyjski triumf na Motoarenie w Toruniu

Joachim Przybył

Robert Lambert odebrał mistrzostwo świata Bartoszowi Zmarzlikowi. 230 wyścigów w sezonie i o wszystkim decydował finałowy na Motoarenie w Toruniu z udziałem trzech pretendentów do tytułu.



FOT. JAROSŁAW PABIJAN

Bartosz Zmarzlk jako jeden z pierwszych pospieszył z gratulacjami

Nigdy w ponad 20-letniej historii cyklu Speedway Grand Prix nie było takiego turnieju. Zdarzały się sytuacje, że o mistrzostwie świata decydował punkt, ba, raptem rok temu Bartosz Zmarzlik o tyle wyprzedził Brady'ego Kurtza, ale nigdy wcześniej przed ostatnim turniejem trzech zawodników nie dzieliła tak wątła różnica.

Robert Lambert – 142 pkt, Zmarzlik – 141 pkt, Kurtz – 139 pkt: tak wyglądało jeszcze w piątek.

Brytyjczyk swój pierwszy złoty plastron lidera wywalczył dwa tygodnie temu w Vojens, ale nie dane mu było w nim pojechać nawet jednego wyścigu. W sprintach przed turniejem głównym nie pomogła mu znajomość toru na Motoarenie, odpadł w kwalifikacjach. Zmarzlik za to zaliczył z kolei swoje najlepsze sprinty w sezonie (w poprzednich nie zdobył nawet punktu), był drugi i ostatni turniej SGP znowu zaczynał w roli lidera.

Passę początkowo kontynuował w turnieju, w pierwszej serii zdecydowanie pokonał Roberta Lamberta. Potem Brytyjczyk jeździł już fenomenalnie, był bezbłędny. Dzięki temu był najwyżej rozstawiony przed decydującą fazą zawodów, a w finale kluczowe okazało się prawo wyboru wewnętrznego pola startowego.

– To był dobry turniej, dałem z siebie wszystko. W finale ciężko było wyjechać z trzeciego pola. Robert przez cały sezon trzymał wysoki poziom i był na samym szczycie. Wiem, czym jest ciężka praca i rozumiem to, bo sam sześciokrotnie znajdowałem się w takiej samej sytuacji. Dzisiaj miałem kolejną szansę, ale... Może w tym sezonie starczyło tylko na srebro? Myślę, że wielu zawodników również chciałoby teraz być na moim miejscu. Dlatego jestem szczęśliwy. Zdobyłem dziesiąty medal mistrzostw świata, nie marzyłem o tym jako dziecko i wiem, ile musiałem poświęcić, żeby tu być – powiedział Bartosz Zmarzlik po turnieju.

– W kolejnym sezonie będziesz dodatkowo głodny, aby odzyskać tytuł? – padło pytanie.

– To jakbym świętował mistrzostwo świata w swoim domu. Nie planowałem złota, nawet się go nie spodziewałem przed sezonem, to po prostu wyszło naturalnie. Żużel jest jak układanka: jeśli brakuje kilku elementów, nie rozwijasz się. Nam z całym teamem udało się poskładać wszystko w całość i sprawić, by działało – powiedział Lambert.

Na czwartym miejscu w Toruniu zakończył turniej Patryk Dudek i dzięki temu utrzymał się w cyklu na kolejny sezon. Pojedzie o mistrzostwo świata w 2027 roku także Kacper Woryna dzięki wysokiej lokacie w Grand Prix Challenge, szansę ma jeszcze Maciej Janowski, jeśli wygra cykl Speedway Euro Championship.

Promotor Speedway Grand Prix, Mayfield Sports Events Ltd, ogłosił w Toruniu kalendarz na sezon 2027. Toruńska Motoarena będzie gospodarzem eliminacji 25 września, ale traci miano finału cyklu na rzecz podwójnego turnieju w Adelaidzie, Australia wraca więc do kalendarza po kilku latach przerwy. 15 maja czeka nas turniej Grand Prix Polski na PGE Narodowym, a 3 lipca zawody na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu.

– Zawsze jestem głodny! – odparł nasz mistrz, któremu jednego złota brakuje, aby zostać najbardziej utytułowanym żużlowcem w dziejach.

Część apetytu zaspokoił jeszcze w Toruniu. – Wreszcie teraz zjem coś porządnego – rzucił, wychodząc ze stadionu, już wyraźnie rozluźniony i znowu uśmiechnięty.

A srebrny medal Zmarzlik trafi wkrótce na aukcję na rzecz ciężko chorej 2-letniej Laury.

Robert Lambert też był w Toruniu fetowany. Tu mieszka od dawna, od 2021 roku startuje w barwach „Aniołów", z którymi właśnie przedłużył kontrakt na trzy kolejne lata. Znalazł tutaj żonę Julię, z którą na dniach spodziewają się pierwszego dziecka.

Grand Prix Polski w Toruniu: 1. Lambert (Wielka Brytania) 17 (2,3,3,3,3,3), 2. Kurtz (Australia) 15 (3,0,1,3,3,3,2), 3. Zmarzlik (Polska) 16 (3,2,2,2,3,3,1), 4. Dudek (Polska) 12 (1,3,2,3,3,0), 5. Bewley (Wielka Brytania) 12 (1,2,3,3,1,2), 6. Madsen (Dania) 10 (3,1,3,0,2,1), 7. Jensen (Dania) 9 (0,3,3,2,0,1), 8. Lindgren (Szwecja) 9 (2,1,1,1,2,2), 9. Fricke (Australia) 7 (3,0,1,1,2,0), 10. Doyle (Australia) 6 (1,1,2,2,0,0), 11. Woryna (Polska) 6 (1,2,w,1,2), 12. Kubera (Polska) 5 (0,3,2,0,0), 13. Thomsen (Dania) 5 (2,2,d,0,1), 14. Pamicki (Ukraina) 4 (2,0,0,2,0), 15. Lebiediew (Łotwa) 3 (0,1,0,1,1), 16. Pawełczak (Polska) 2 (0,0,1,0,1).

Klasyfikacja końcowa: 1. Lambert 162 pkt, 2. Zmarzlik 160 pkt, 3. Kurtz 157 pkt, 4. Jensen 111 pkt, 5. Dudek 103 pkt, 6. Madsen 100 pkt, 7. Fricke 97 pkt, 8. Woryna 95 pkt...14. Kubera 44 pkt, 19. Janowski 11 pkt, 23. Pawlicki 6 pkt, 25. Pawełczak 3 pkt.

PIŁKA RĘCZNA

Dwie porażki w turnieju w Chebie przed mistrzostwami Europy

Jacek Kmiecik

Reprezentacja Polski piłkarek ręcznych w ramach przygotowań do grudniowych mistrzostw Europy, które odbędą się między innymi w Polsce, zagrała w turnieju w czeskim Chebie.

Polki po konsultacji w Szczyrku wzięły udział w jednym ze sprawdzianów przed EHF Euro w towarzyskim turnieju w Chebie, gdzie zagrały ze Słowenią, gospodyniami imprezy - Czeszkami i drugą drużyną Norwegii.

W środę, 23 września, Polki przegrały ze Słowenkami 28:29 (16:14). Była to druga porażka Biało-Czerwonych w siódmej konfrontacji ze Słowenią. Podopieczne Arne Senstada miały ponad 30 sekund na ostatnią akcję, ale Monika Kobylińska zgubiła piłkę w ataku. Gorycz porażki osłodził nieco dorobek Magdy Balsam, która zdobyła trzy gole i dzięki temu przekroczyła barierę 300 trafień w kadrze. Niepokój wzbudziła kontuzja rozgrywającej Karoliny Kochaniak, która musiała opuścić parkiet z powodu skręcenia stawu skokowego.

- To jest jeszcze czas szlifowania poszczególnych elementów gry. Na pewno w miarę zbliżania się mistrzostw dreszczyk emocji się pojawi. Teraz najważniejsze jest, żeby jak najlepiej wykorzystać ten czas, który nam pozostał - zaznaczyła Kochaniak, zdobywczyni 152 bramek w 66 występach kadry, która po sześciu latach gry w KGHM Zagłębiu Lubin przeniosła się tego lata do rumuńskiego CSM Brasov.

W drugim meczu w piątek, 25 września, Polki bez kontuzjowanej Karoliny Kochaniak poniosły porażkę z Czeszkami 25:27 (9:10). Było to 30. bezpośrednie spotkanie obu drużyn, po którym bilans dalej jest korzystny dla Polek (12-7-11). Najlepszą w polskim zespole była prawa rozgrywająca Monika Kobylińska, która zdobyła 7 bramek.

W niedzielnym meczu pokonały Norwegię B 32:30 (17:13).

W sobotę, 24 października, Polki zmierzą się w towarzyskim spotkaniu z Islandią w Arenie Katowice.

KRÓTKO

Siatkówka

Triumf ŁKS w turnieju Gigantów Siatkówki

Siatkarki ŁKS Commercecon Łódź okazały się najlepsze w turnieju Giganci Siatkówki, który został rozegrany w Twardogórze, wygrywając w finale z DevelopResem Rzeszów 3:1 (25:22, 20:25, 25:21, 25:19). Trzeci był Zeren Spor Kulubu, a czwarty HAOK Mladost Zagrzeb.

Sporty motorowe

Silna polska ekipa na starcie Rajdu Maroka

Prologiem w Agadirze rozpocznie się dzisiaj Rajd Maroka - czwarta runda terenowych mistrzostw świata. Uczestnicy pokonają ponad 2,5 tysiąca kilometrów od Atlantyku po Saharę. W rajdzie wystartuje liczna polska ekipa, na czele z rodziną Goczałów w klasie samochodów Ultimate i coraz lepiej radzącym sobie w światowej czołówce motocyklistą Konradem Dąbrowskim. Oprócz nich samochodem pojadą Tomasz Baranowski i Konrad Dudziński oraz Włodzimierz Grajek i Jacek Czachor. W klasie lekkich pojazdów challenger wystartują Adam Kuś i Maciej Giemza, Grzegorz Brochocki i Grzegorz Komar oraz Edward Ruszczyc i Krzysztof Kubiś, a w rywalizacji motocyklistów Sławomir Sypień, Tomasz Orwat i Marek Halamunda.

Lekkoatletyka

Maraton Warszawski dla Kibora i Vindics-Toth

Kenijczyk Stephen Kibor (na zdjęciu) czasem 2:09.19 wygrał 48. Maraton Warszawski z certyfikatem World Athletics Elite. Najszybszą kobietą była Lili Anna Vindics-Toth, która poprawiła rekord Węgier 2:24.48. Najlepszym Polakiem był Dariusz Boratyński, który czasem 2:19.20 zajął dziewiąte miejsce.

Glinka pobiła rekord Polski w półmaratonie

32-letnia Elżbieta Glinka czasem 1:08.47 pobiła rekord Polski w półmaratonie w Gdańsku. To wynik o 31 sekund lepszy od poprzedniego rekordu, który od 2021 roku należał do Karoliny Nadolskiej - 1:09.18. Glinka była najszybszą kobietą i zajęła 4. miejsce w klasyfikacji generalnej Półmaratonu Gdańskiego. Otrzymała premię 100 tysięcy zł za ustanowienie rekordu kraju. 11 stycznia w Walencji pobiła też rekord Polski na 10 km - 31.47.



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl 6d5d1d980e

S24 **sportowy24.pl**

sport

PIŁKA NOŻNA

Dziś reprezentacja Polski zmierzy się w Solnie ze Szwecją w Lidze Narodów UEFA
str. 20

KOLARSTWO



FOT. SZYMON GRUCHALSKI

Katarzyna Niewiadoma została w Montrealu wicemistrzynią świata
str. 22

ŻUŻEL

Bartosz Zmarzlik ze srebrem w cyklu Speedway Grand Prix. Wygrał Brytyjczyk Robert Lambert
str. 23

Trener Nikola Grbić jest magiem – pod wodzą serbskiego selekcjonera nasza reprezentacja stanęła na podium 10. kolejnego turnieju!



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Polscy siatkarze obronili tytuł mistrzów Europy. Stawka rywalizacji była podwójna, złoci medaliści wywalczyli też przepustkę na igrzyska olimpijskie
str. 21

eprasa.pl 6d5d1d980e